Nr. 7. Poznań, Niedziela 17-go Lutego 1901 r. Rok V.

PRACA

Tygodnik illustrowany

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1,25 m.;*** *na poczcie w Austro-Węgrzech* ***1 kor. 47 hal.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,90 mr.,*** *w Austro-Węgrzech* ***2 kor. 30 hal.*** *za Oceanem* ***1 dolar 25 cent.***
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Od Redakcyi.

Przygotowujemy obecnie do druku następujące numery specyalne, jednej tylko wyłącznie sprawie poświęcone:

1. Numer poświęcony literaturze i poezyi polskiej (z życiorysami i utworami wybitnych polskich pisarzów).

2. Numer poświęcony historyi ojczystej (z licznemi illustracyami).

3. Numer poświęcony sprawie polskiej na Górnym Śląsku.

4. Numer poświęcony wyłącznie Księstwu Poznańskiemu i stanowi agitacyi polskiej w Księstwie.

5. Numer zbiorowy, na który złożą się wyłącznie prace naszych czytelników.

6. Numer poświęcony Galicyi.

O nadsyłanie odnośnego materyału prosimy.

Życzliwe i gorące przyjęcie, z jakiem spotkały się dotychczas wydane przez nas numery specyalne: Sienkiewiczowski, Noworoczny, poświęcony młodzieży, oraz emigracyi — pobudzają nas do tem ruchliwszej pracy.

Redakcya.

Podwyższenie ceł.

Ponieważ niebawem kończy się już termin zawartego przez Niemcy z większością państw sąsiednich traktatu celnego, oddawna już zajmuje opinię publiczną kwestya odnowienia traktatu handlowego oraz powiązanych z tem odnowieniem zmian.

Zmiany te w pierwszej linii dotyczą traktatu z Rosyą, stosunki handlowe bowiem z Rosyą, jako państwem, które produkuje zboże dla całej niemal Europy, są niezmiernie doniosłe i każda ich zmiana ogromnie się odbija na całym ustroju ekonomicznym państw obydwóch.

Jak wiadomo, Niemcy coraz bardziej potrzebują sprowadzać zboża z zagranicy, mianowicie z zagranicy rosyjskiej. Zboże z tamtej strony granicy jest tanie i silną stanowi konkurencyę dla niemieckiego zboża. Ceny rolników niemieckich i polskich, którzy mieszkają w prowincyach zabranych przez Prusy, muszą się stosować do cen zagranicznego zboża. Aby więc te ceny podnieść do wysokości, przy której rolnictwo byłoby zyskowniejszem zajęciem, starają się rolnicy o podwyższenie opłaty przy dowozie zboża zagranicznego. Im większa opłata, tem wyższa cena, i tem też wyższą cenę osiągnąć mogą rolnicy za wyprodukowane w kraju zboże.

Pod naciskiem sfer rolniczych niemieckich, rząd niemiecki zdecydował się na podwyższenie ceł dowożonego z zagranicy zboża.

Nie można o tem wątpić, że parlament zgodzi się większością głosów na podwyższenie taryfy cłowej, gdyż przeważna część posłów centrowych będzie za tem, jak to wnosić można z przemówień tych przedstawicieli Centrum, którzy w sejmie na odnośnem posiedzeniu zabierali głos. Przeciw podwyższeniu cła są tylko wolnomyślni i socyaliści, którzy pozostaną w znacznej mniejszości.

Jakie stanowisko zajmą posłowie polscy (z Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich) nie wiadomo, gdyż na odnośnem posiedzeniu zachowali zupełne milczenie.

Z konieczności rzeczy nasuwa się tu pytanie, jak się zapatrywać należy na tę sprawę, i jakie stanowisko zająć powinni posłowie polscy wobec omawianego projektu, który jest niczem innem, jak projektem podwyższenia cen na zboże.

Zabierając się do rozpatrzenia tej sprawy, na wstępie jedno musimy zrobić zastrzeżenie: oto, że nie rozpatrujemy jej ze stanowiska obywateli Rzeszy niemieckiej, lecz wyłącznie ze stanowiska korzyści lub strat społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim. Pozostawiamy to naszym posłom w parlamencie niemieckim, aby oni przyjętym zwyczajem uderzając się w piersi zaręczali, że w osądzeniu sprawy starają się kierować względami na do-

bro całego wielkiego państwa niemieckiego: dla nas tu jest miarodajnym nie los i byt państwa niemieckiego, ale los społeczeństwa polskiego, dla nas niech nie istnieje całe państwo niemieckie, my jedno mamy na oku, warunki bytu naszego biednego, ogładzanego systematycznie społeczeństwa polskiego.

Chętnie gotowiśmy nawet przyznać słuszność tym politykom i ekonomistom niemieckim, którzy twierdzą, że bez podwyższenia ceł na zboże rolnictwo niemieckie wyzionie ducha i, co zatem idzie, pociągnie częściową ruinę całego kraju *niemieckiego* — owszem, może mają w tem racyę: nie naszym obowiązkiem w to wchodzić — my obowiązani jesteśmy rozpatrywać sprawę tylko na gruncie stosunków zarobkowych naszego — *polskiego* społeczeństwa.

A rozpatrując ją na tym gruncie spostrzeżemy odrazu ogromny brak jednolitości warunków ekonomicznych. Mamy klasę wielkich właścicieli ziemskich, którzy wzdychają do wysokich cen zboża, ale ci właściciele ziemscy wielkich obszarów — to jeszcze nie naród, jeszcze nie społeczeństwo!

Mamy obok tej klasy panów wielkich obszarów liczny zastęp drobnych właścicieli ziemi, gospodarzy, którzy nie na obszarach, ale na drobnych kawałach gruntu siedzą. Ci — nie prowadząc handlu zbożem, nie wzdychają do ceł ochronnych, bo do pewnego stopnia obojętnem jest dla nich, czy cła są niskie, czy wysokie. Produkują oni ziarno w miarę własnej potrzeby i sami je konsumują w postaci chleba. Dla nich raczej niepożądane niż pożądane byłyby wysokie ceny zboża, bo nieraz i oni kupować muszą zboże na przednówku, kupować by więc musieli za drogą cenę. Takich drobnych rolników liczy nasze rolnictwo najwięcej. Korzyści z ceł nie mieliby żadnych, wątpliwem zaś jest, czyby nie mieli straty.

Ale ludność rolnicza w naszym kraju — to dopiero cząstka ludności. Od kilkudziesięciu lat polskość w zaborze pruskim szuka nowych sposobów zarobkowania, dąży poczęści z musu, poczęści w dobrze zrozumianym interesie własnym do zdobycia sobie kawałka chleba w odległych od rolnictwa gałęziach pracy. Nasze warstwy średnie, nasi przemysłowcy, kupcy, nasi robotnicy wreszcie stanowią dziś ową klasę, która już w drugiem lub trzeciem pokoleniu wyzbyła się łączności z rolnictwem. Jest to dziś klasa, na której naród opierać poczyna swe nadzieje rozwoju społecznego. Te warstwy średnie mają dać podporę bytu narodowego, mają wobec upadku wytworzyć dla polskości nowy punkt oparcia — i już go poczęści wytwarzają. One to mają dać krajowi inteligencyę, a zarówno z przygodnych spostrzeżeń, jak i z urzędowej statystyki zawodowej przekonywujemy się, że wśród naszego społeczeństwa ten procent ludności zarobkującej w innych — nie rolniczych zawodach coraz wzrasta. A zresztą nietylko te warstwy mieszczańskie, kupieckie, przemysłowe i robotnicze na innem stoją stanowisku wobec ceł, niż wielcy rolnicy: — przecież i *robotnik rolny* też na innem stoi stanowisku niż wielki właściciel ziemski. I on się nie spodziewa korzyści z ceł, a jeśli mu dziś właściciele ziemscy mówią, że skala zarobkowa się podniesie, gdy ceny zboża będą większe, to łudzą go tylko próżną nadzieją, bo jeśliby obywatele ziemscy mieli podwyższyć ceny pracy — to musieliby drugą ręką wydać w ten sposób to, co w jedną rękę dostali — przez podwyższenie cen zboża.

Zapytajmy się więc, na jakiem stanowisku wobec projektowanych wysokich ceł zboża stoją te masy ludności polskiej — te tysiące i tysiące robotników, przemysłowców, kupców, mieszczan? Ta olbrzymia większość ludności powiedziałaby nam z pewnością: podwyższenia ceł nie chcemy, bo *chleb będzie droższy*.

Przyznajemy naszym rolnikom chętnie, że warunki ich bytu są trudne — ale niechże i oni rozważą, że większa część ludności polskiej już niestety nie siedzi na swoim gruncie, ale że pracuje u obcych pracodawców, w handlu i przemyśle, że ona z podwyższenia ceł będzie miała jeden smutny rezultat: droższy chleb. A jeśli podroży się chleb ludowi, to czy nie będzie mu braknąć pieniędzy na książki, na kształcenie dzieci, na gazety?

W końcu jeszcze jedna uwaga: sądzimy, że sprawa podwyższenia lub nie podwyższenia ceł na zboże jest kwestyą dla społeczeństwa naszego niezmiernie doniosłą, nie sądzimy jednak, iżby miała być tak doniosłą, aby różnica zapatrywań miała wśród naszego społeczeństwa doprowadzić do utworzenia dwóch partyi zawzięcie się zwalczających — stronnictwa obstającego za podwyższeniem ceł i stronnictwa przeciwnego temu poglądowi. Owszem, uwydatniliśmy chyba w treści naszego artykułu wystarczająco charakter sytuacyi, a zwłaszcza okoliczność, że ekonomiczne położenie naszego społeczeństwa nie decyduje bezwzględnie o takiem, a nie innem stanowisku wobec podwyższenia ceł. Owszem, wykazaliśmy, że jest wśród nas dość znaczny odłam, któremu by podwyższenie ceł przyniosło nawet korzyść, z drugiej zaś strony jest klasa, nie związana z rolą, dla której podwyższenie ceł równa się podcięciu żywotności. A rozpatrując z ogólnego punktu widzenia tę sprawę, przyjść musieliśmy do przekonania, że niepodobna wobec niej zająć stanowisko, któreby uwzględniało potrzeby i życzenia klas zarobkujących. — Dlatego też właśnie, że nie można znaleść drogi pośredniej, należy uwzględnić interes klasy liczniejszej, bardziej potrzebującej, mianowicie klasy mieszczańsko-przemysłowo-robotniczej.

Dla klasy tej podwyższenie cen chleba byłoby ciężkiem pogorszeniem bytu.

Ale właśnie też dlatego, że pośredniej drogi niema — bo i rolnicy się na biedę skarżą — nie należy z haseł „za cłem“ lub „przeciw cłom“ robić sztandaru walki wewnętrznej. Nasi posłowie i tak o przyjęciu lub odrzuceniu wniosku decydować nie będą i nie mogą, więc raz jeszcze podnosimy z naciskiem

potrzebę traktowania tej sprawy z możliwą rezerwą, sprzeczność bowiem leży w samym ustroju naszego społeczeństwa i ze sprzeczności tej napróżno nie należy wywoływać antagonizmów klasowych.

Vester.

Sprawa ceł na zboże.

Aby sprawę tak ważną, jak sprawa ceł na zboże, poddać wyczerpującemu rozbiorowi zamieszczamy obok poprzedniego — i niniejszy artykuł, pochodzący z pod fachowego pióra, a uwzględniający stanowisko pism naszych, które w tej sprawie głos już zabrały: mianowicie „*Kuryera Pozn.*“. „*Dzien. Berl.*“ i „*Gońca*“.

Nadmieniamy, że dyskusyi publicznej po tych artykułach bynajmniej nie uważamy za zamkniętą. — *Red.*

Kwestya ceł na zboże ma dla nas wielką wagę, a to zarówno ze stanowiska czysto ekonomicznego, jak i politycznego.

Ekonomicznym kwestyom poświęcimy parę zwięzłych uwag później. Co do politycznych względów to przemawiają one stanowczo i bez warunkowo przeciw zawarciu konwencyi na podstawie wyższych ceł. Im wyższe cła, tem wyższy i silniejszy mur, przegradzający nas od Królestwa, ku któremu przecież spoglądamy, jako ku tej części Polski, w oparciu się na której leży przyszłość narodowa Księstwa Poznańskiego.

Dążeniem naszem powinno być skojarzenie węzłami ekonomicznemi Królestwa Polskiego i Księstwa, wymiana produktów, wymiana ludzi — a wreszcie i wzgląd na zagrożone przez cła rolnictwo polskie w Królestwie też ma swe znaczenie — jakkolwiek niewielkie, bo w większej mierze chodzi o dowóz zboża z Ameryki niż przez Gdańsk z Królestwa Polskiego.

Ale pominąwszy te motywy zewnętrznej polityki, znajdujemy i motywy polityki wewnętrznej. Głosując za podwyższeniem ceł, posłowie nasi szliby ręka w rękę z najreakcyjniejszymi żywiołami państwa niemieckiego, z konserwatystami i junkrami pruskimi, co nas gotowi w łyżce wody utopić, z całą kohortą „Bundu“ rolników i jej hakatystycznym ogonem.

Ta sytuacya ma sama w sobie coś niemiłego, jeśli się zważy, że przeciwko sobie mielibyśmy wolnomyślnych i socyalistów, którzy reprezentują żywioł opozycyjny, do jakiego i my powinniśmy się zaliczać.

Głosowanie za rządowym projektem ma dla nas coś już z góry wstrętnego. Naturalnie wstręt ten nie powinien i nie może iść tak daleko, abyśmy sobie sami mieli zakładać pętlicę na szyję, aby tylko rządowi dokuczyć.

Przypatrzmy się więc ekonomicznym motywom, którym przyznajemy z góry decydującą wagę o samej kwestyi.

Obecnie płaci się 3 mr. 50 fen. cła za 100 kg. żyta, projektowane zaś podwyższenie wyniosłoby 7 mr. 50 fen. lub 10 mr. za 100 kg. —

Jest to swego rodzaju podatek nałożony naturalnie na ludność konsumującą zboże, a korzystny dla tej części ludności, która zboże produkuje, może bowiem droższe zań osięgać ceny.

Jak oddziała podwyższenie cła na nasze społeczeństwo? Wysokie cła na zboże działają jak pogłówne na większą część ludności, szczególnie ciężą one na ludzie roboczym, który zazwyczaj więcej chleba spożywa od ludności majętnej, i dlatego więcej od niej cła musi płacić.

Cło wtedy powiększa się na 6 mr. rocznie na głowę. Biedna rodzina więc, składająca się z pięciorga członków, a mająca 900 mr. rocznego dochodu, płaci rocznie marek 30 samego cła na rzeczy niezbędnie do życia potrzebne. A czy to nasz robotnik lub chłop ma tylko po troje dzieci? Zajrzyjmy do chaty, a znajdziemy ich tam przeciętnie po pięcioro.

Komu bowiem wysokie cła przynoszą korzyść? Li tylko wielkim i w części średnim właścicielom produkującym zboże na sprzedaż i nie kupującym go pod żadną postacią. Sprzedawać zboże zaś może tylko właściciel więcej niż dwóch hektarów ziemi.

Przeważna część rolników naszych, to mali posiedziciele, którzy muszą, chcąc egzystować, rozszerzać chów i sprzedaż bydła. Ci potrzebują tańszego zboża, równie jak ogromna falanga naszych rękodzielników i przedstawicieli drobnego przemysłu.

Dla robotnika podwyższenie cła na zboże znaczy po prostu zmniejszenie zarobku, ponieważ za dawniejszą swoją zapłatę może kupić tylko mniejszą ilość zboża. Robotnik ten tak łatwo na zniżenie swej płacy się nie zgodzi i będzie usilnie dążył do tego, by takową podwyższyć.

Po długich walkach i cierpieniach cel swój też zwykle osięga. Ale za to wielki przemysłowiec, produkujący w ten sposób drożej swe wyroby, jak to maszyny, materye wełniane, bawełniane, itd. będzie miał trudną walkę do stoczenia na rynku wszechświatowym z kapitalistami zagranicznymi.

Górny Śląsk z setkami tysięcy ludu roboczego i drobnych gospodarzy (wielcy właściciele ziemscy są bez wyjątku Niemcy) z wygórowanych ceł na zboża ma tylko szkodę.

Przy rozpatrywaniu Wielkopolski i Prus królewskich podzielmy sobie dla dogodności majątki na cztery kategorye podług podatku gruntowego, nałożonego na czysty dochód ziemi. Do pierwszej kategoryi wielkich majątków zaliczamy wszystkie, które płacą gruntowy podatek od więcej niż 500 talarów czystego dochodu, do średnich płacące tenże podatek od 100—500 talarów, do małych niżej 100 talarów, do czwartej kategoryi gospodarstwa niesamodzielne t. j. takie, których właściciele muszą szukać pobocznego zarobku dla swego utrzymania.

W r. 1893 mieliśmy w Wielkopolsce majątków:

wielkich	średnich	małych	samodzielnych
1,982	5,087	24,613	55,331

W Prusach królewskich.

2,181	6,839	14,744	47,198

W dodatku połowa wielkiej własności ziemskiej w Księstwie i Prusach król. znajduje się dzisiaj w rękach niemieckich.

Okazuje się więc z tego, że jakkolwiek wielcy właściciele ziemscy nasi z podwyższenia ceł mieliby znaczne korzyści, to wszakże tych właścicieli nie jest wielu.

Sytuacya więc zarysowuje się w ten sposób — że po jednej stronie stoją wielcy właściciele ziemscy w małej liczbie, a po drugiej masy robotnicze, mieszczańskie i przemysłowe. Wielcy właściciele powiadają robotnikom: my nie możemy utrzymać się przy ziemi bez podwyższenia ceł, a dla was, robotników, to podwyższenie wypadnie *na głowę* w bardzo niewielkiej kwocie.

Istotnie w ten sposób mniej więcej odpowiedział „Kuryer Poznański" w artykule *Ziemianina*, gdy mu „*Dzien. Berl.*" przytoczył zacytowane powyżej cyfry. Napisał wtedy „Kuryer":

„Robotnik zarabia stósownie do siły i zręczności od 3 aż do 6 marek dziennie i za to musi utrzymać siebie i rodzinę. Otóż wiemy z doświadczenia, że liczna rodzina na wsi przy małej konsumpcyi mięsa potrzebuje na chleb, kluski, kaszę etc. nie więcej jak ca 24 ctr. ziarna czyli po obecnych cenach za ca 168 marek rocznie. Choćby więc cena zboża postąpiła wskutek podniesienia ceł ochronnych o 10 proc. to uczyniłoby to rocznie różnicę *siedemnastu marek* na rodzinę. W porównaniu do zarobku ogólnego, przekraczającego w przecięciu dość znacznie 1000 marek, widzimy, że jest to procent bardzo nieznaczny, który nie uprawnia do skarg."

W ten sposób więc wielcy właściciele rozumują — że przecież obciążenie 17-stu markami na rok nie jest takie wielkie, zwłaszcza gdy się rozchodzi o byt całej klasy ziemskich właścicieli. I przyznalibyśmy słuszność wywodom „*Kuryera*", gdyby nie jeden szczegół. A mianowicie:

Sądzimy, że miarodajnym w kwestyi, czy mamy oświadczyć się **za** *cłami czy też* **przeciwko** *nim, nie jest wzgląd na jedną lub drugą klasę społeczną, lecz wzgląd na pomnożenie majątku narodowego wogóle.* I zachęcalibyśmy do wyższych ceł, gdybyśmy wiedzieli, że w rezultacie z tego zubożenia jednej klasy, a wzbogacenia drugiej będzie miał przyrost majątek narodowy wogóle: gdybyśmy jednem słowem wiedzieli, że te wyłożone 17 marek rocznie na głowę robotnika polskiego powrócą do kieszeni polskich w dwójnasób, choć w innej klasie społecznej, dziś potrzebującej poparcia.

Ale tak nie jest.

Z tych dwóch i pół milionów ludności polskiej, dajmy na to, suto licząc, — pół miliona odniesie korzyści z ceł, inni zas będą należeć do tych płacących 17 mrk. na rok więcej. Z kieszeni polskich ubędzie wtedy w ciągu roku 34 miliony marek, a ileż przybędzie za to rolnikom wielkim?

Proszę wykazać, że im przybędzie więcej niż 34 milionów a wtedy uznam, że z punktu ogólnego, ze stanowiska majątku narodowego, jako całości, należy przyklasnąć podwyższeniu ceł.

Ale dość wziąść ołówek w rękę i policzyć, aby się przekonać.

Podrożenie cła z 3,50 m. na 7,50 m. stanowi różnicę 4 m. na stu kilogramach. To byłby, dajemy na to, ten zarobek wielkich rolników (choćby faktycznie nawet tej wysokości nie osiągnął). A teraz pytanie: *Ile to setek kilogramów musieliby sprzedać nasi wielcy rolnicy, aby te 34 miliony napowrót odzyskać?*

Odpowiedź: Nie mają wcale tyle zboża, aby podwyższenie ceny mogło im przysporzyć 34 miliony rocznie.

Wynik z tego taki: *że w postaci wyższych ceł na zboże nie wraca do kieszeni polskich tyle grosza, ile go cła wyciągną.*

A zatem: **precz z podwyższeniem ceł!** *Prawdzic.*

Z kół młodej inteligencyi górnośląskiej otrzymaliśmy następujący artykuł, który z przyjemnością podajemy:

Centrum a lud polski

na

Górnym Śląsku.

Gdy niedawno temu „Praca" wzywając do samodzielności narodowej, obliczyła, ilu przedstawicieli lud polski pod zaborem pruskim powinien wysyłać do parlamentarnych ciał niemiecko-pruskich, odpowiednio do swej siły liczebnej, wtedy wezwanie to odbiło się nader głośnem echem w prasie niemieckiej. Ale i między ludem samym apel ten do czynu zrobił swoje wrażenie.

U nas na Górnym Śląsku lud złotym słowom „Pracy" przyklasnął i wypowiedział zupełnie te same zapatrywania polityczne, którym dał wyraz na wiecu zarządów Towarzystw polskich, jaki się odbył 13-go stycznia r. b. w Bytomiu. Gdy po zagajeniu tegoż przewodniczący, p. Dombek, redaktor „Katolika", zawiadomił zebranych, iż z 9-ciu posłów zaledwie jeden na zaproszenie odpowiedział, zebranie przyjęło tę wiadomość powszechnem oburzeniem.

Lud sam dzisiaj przekonał się, iż panowanie centrum na czysto polskim Górnym Śląsku jest zjawiskiem wprost śmiesznem. Z jakiej racyi bowiem my Polacy mamy oddawać głosy nasze na centrowca? W parlamencie i w sejmie centrum stwierdza swoją przyjaźń do Polaków przyklaśnięciem mówcom Koła polskiego i ewentualnie głosowaniem przeciw jakimś barbarzyńskim prawom przeciw nam ukutym. I to nie zawsze, czego dowodem ostatnie wystąpienie centrowców w sprawie adresów polskich. Pięknie! Ale „partya walcząca w imię prawa i sprawiedliwości" powinna zasady swe bezinteresownie czynem stwierdzać, nie domagając się od nas wynagrodzeń w postaci kilku mandatów. Przecież socyaliści, „burzyciele porządku społecznego", tę samą przysługę nam wyświadczają, nie żądając w zamian żadnej zapłaty.

Centrum walczące w imię prawa i sprawiedliwości ma zawsze dwuznaczny charakter. W ciałach parlamentarnych wieczny uśmieszek do Polaków, w praktyce zaś wyznawanie i zastosowywanie przykazań bractwa HKT. Nie będziemy

powtarzać starych, ale zawsze bolesnych faktów jak tępienie i prześladowanie języka naszego w kościołach, niemczenie dziatwy naszej przez Siostry miłosierdzia, ale przytoczymy tu inne dowody, jaskrawo illustrujące uczucia centrum żywione do Polaków. Wiadomą jest rzeczą, iż centrowcy na Śląsku wydają pismo dla ludu w języku polskim, mianowicie ,,Gazetę katolicką.“ Stały czytelnik piśmidła tego, cenzurowanego przez filary centrowe, w każdym nieomal numerze pozna ukryte zamachy na narodowość naszą. Nie wolno tam pisać o uroczystościach narodowych, ale za to bardzo szeroko się tam rozpisują o „*naszych*“ królach pruskich i ich zasługach, o uroczystościach „*naszego*“ państwa pruskiego...

Najlepszem świadectwem uczuć antypolskich centrum jest list, który mamy pod ręką, pisany przez dziekana Sch., jednego z głównych filarów centrowych na Górnym Slązku, do byłego redaktora ,,Gazety Katolickiej.“

Otóż w tym liście zupełnie wyraźnie czytamy: ,,Mamy nadzieję, że Pan będzie walczył z agitacyą wielkopolską i poczciwy lud nasz chronił od tej zarazy — antypaństwowej, mamy nadzieję, że Pan będziesz krzewił między ludem lojalność i przywiązanie do państwa i kościoła.“

A więc najpierw państwo, a potem dopiero kościół! Taka jest przyjaźń centrum do Polaków. Cóż to jest bowiem agitacya wielkopolska? Jest to święta walka nasza za język, obyczaje nasze, jest usilna nasza praca ochronna, aby nie prysły łączniki, wiążące nas z resztą społeczeństwa polskiego, które Prusacy przemocą, gwałtem i podstępem chcą zniszczyć. Jest to walka z rządem pruskim, który od 150 lat stara się, by nas zniszczyć. *My ręki katującej nas całować nie chcemy i nie będziemy*, bo podłość nie jest przymiotem narodu polskiego. Nie damy się też spruszczyć.

Nie będziemy się dzisiaj rozpisywać o stosunku centrum do ludu roboczego, ponieważ to ma być przedmiotem nowego listu do ,,Pracy“, przypominamy tylko, że to za pomocą centrum zawdzięczającego tysiące głosów ludowi roboczemu większe ciężary spadają na biedny lud pracujący. Aż do roku 1888 wydawano mniej więcej 500 milionów rokrocznie na wojsko, dziś suma ta urosła aż do 800 milionów; na marynarkę do r. 1888 wydawano rocznie 50 milionów, dziś suma ta dosięgła 117 milionów, nie licząc w to najnowszego podwyższenia wydatków na marynarkę, w czem niewliczona jest jeszcze wyprawa chińska—połykająca bajońskie sumy. Od r. 1872—1898 wydano na wojsko i marynarkę olbrzymią sumę *16,900 milionów* marek, czyli każdy z szczęśliwych obywateli państwa niemieckiego zapłacił 319 marek, a rodzina robotnicza składająca się z sześciu głów zapłaciła nie mniej jak *1914 marek*.

Komu to mamy do zawdzięczenia? Znowu temu ,,przyjaznemu nam centrum, mającemu większość w parlamencie niemieckim.

Dzięki przyjaźni centrum dla robotników, płacimy dzisiaj od każdego kilogramu chleba 4 fenigi podatku, od kilogramu mięsa 15 fen., 1 litra wódki 28 fen. itd., a znowu to centrum bez względu na dobro ludu biednego oświadczyło się *za podwyższeniem ceł ochronnych* na zboże, przez co chleb, główny pokarm ludu biednego, jeszcze więcej podrożeje. A czy choć jeden z naszych posłów centrowych nas się spytał, jak my się na tę sprawę zapatrujemy?

Dalej tak być nie może!

Lud rzeczywiście dzisiaj pod względem samowiedzy narodowej i politycznej tak daleko dojrzał, że podczas przyszłych wyborów polskie stanowisko swoje zaakcentuje.

Kilka razy już lud ten dojrzałości swej dowiódł, gdy swego czasu wybrał pod hasłami narodowemi majora Szmulę i adwokata Radwańskiego, a jednak ugodowcy nasi w skórze ludowej dokonali swego i posłów tych nakłonili do przyłączenia się do partyi centrowej. Podczas ostatnich wyborów tysiące głosów oddanych socyalistom dobitnie świadczą o niezadowoleniu ludu z tego, że mu się narzuca na posłów ludzi co mówią cynicznie, że „należy *bić Polaków po pysku*.“

Górnoślązak.

Dwie piosnki.

W jesieni niniejszego roku byłem kilka dni we wsi rodzinnej na Kujawach; jednego wieczora wracałem sobie z przechadzki do domu a cudny był to wieczór jesienny. Księżyc już był wypłynął wysoko na niebo i szczodrze rzucał ziemi srebrne swoje światło i z niem siał jakąś wielką, ogromną ciszę na świat cały. Ziemia świeżo zorana zdawała się pełną piersią oddychać, nabierać życia, a w tem oświetleniu księżycowem przedmioty wszystkie jakoby rosły i olbrzymiały. Przechodziłem właśnie obok cmentarza wioskowego; brzozy opuszczały płaczące swe liście aż na groby, przy których straż trzymały, a krzyż w pośrodku cmentarza stojący roztaczał nad nim potężne swoje ramiona, które zdawały się rosnąć i przedłużać w dal, jak gdyby te łany szerokie przygarnąć do siebie chciały. Stanąłem zasłuchany w tę majestatyczną ciszę i sączyłem w siebie tchnienie tej ziemi, moc jej i siłę i zdawało mi się, że zrastam z tą ziemią swoją rodzinną na zawsze i tak dobrze mi było w tej chwili, jak gdybym jej nigdy już nie miał opuszczać...

Naraz w tej świętej, niezmąconej ciszy odezwały się od strony miasteczka jakieś głosy niby ludzkie, ale dzikie, głośne, hałaśliwe. Nie mogłem na razie pochwycić uchem tych głosów i treści słów dosłyszeć; z wolna przybliżają się do mnie coraz to bardziej, już słyszę melodyę śpiewaną aż i po chwili słowa, które zdały mi się być bezczeszczeniem tej świętej ciszy:

„Pankow, Pankow, kille kille Pankow, hopsasa“, — toż to słowa wstrętnej berlińskiej piosenki brukowej — myślę ze zgrozą.

W miarę jak się śpiewający ku mnie zbliżają, poznaję po sposobie w jakim słowa te z ust śpiewających wychodzą, że nie niemieckie to gardła drą się teraz tą szwabską uliczną piosenką, — to nasi polscy parobcy w ten sposób się weselą. I ból wielki ścisnął mi serce; o ty ziemio nasza i ludu polski, jakaż dola nas czeka, jeżeli dzisiaj już nasze Wojtki i Maćki śpiewają niemieckie „Gassenhauery“, jeżeli do nich już doszła „niemiecka kultura“ w swej najwstrętniejszej postaci; przeszli obok mnie ci dwaj krzycząc i wrzeszcząc na całe gardło — poznałem, byli to dwaj urlopnicy świeżo z wojska z głęb Niemiec przybyli i dalibóg, byli pijani; może więc i dobrze, że w takim stanie nie śpiewają jakiej naszej polskiej piosenki, choćby uczciwego Kujawiaka, bo szkoda by go było na pijackie gardła, może też i z radości, nad powrotem na Kujawy upili się przed chwilą a te-

raz wyrażają swoją radość tak, jak się tego we wojsku nauczyli. Panie Boże, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią; toć zostaną tutaj, poczną znowu chodzić za pługiem, rząć żyto i zwozić toć się i wyleczą z tej niemieckiej kultury i wrócą znowu do starych melodyi: oj dana, oj dana! Tak sobie myślałem i starałem zatrzeć to przykre wrażenie, tymczasem głosy milkły znów gdzieś w dali i znowu zapanowała święta cisza, a księżyc jeszcze szerzej zarzucił swój srebrny, gwiazdzisty płaszcz.

* * *

Po kilku dniach opuściłem znowu Kujawy i za chlebem poszedłem na Zachód do Berlina i dni poczęły mi się znowu toczyć gorzkie jak łzy tułacze, ciężkie jak niewola. Któregoś wieczora wracam późno do domu, północ już była blisko. Czekam na którejś stacyi kolei miejskiej, na pociąg, który mnie ku domowi ma zawieźć; po chwili zajeżdża, wsiadam; ledwo pociąg wyjechał ze stacyi naraz słyszę w przedziale obok kilka głosów śpiewających, głosy mieszane, kobiece i męskie. Słucham a tu naraz wspaniała melodya rośnie i wzmaga się melodya i słowa:

„Pamiętne dawne Lechity,
Zyły wielkością i cnotą.“

Śpiew taki silny i potężny, że i łomot pociągu i zgrzyt kół żelaznych tłumi i zagłusza. Szła pieśń po pieśni:

„Jakiż to chłopiec, piękny i młody,
Jakaż to obok dziewica“

śpiewają po chwili pewno na życzenie jednej z obecnych panien. Serce mi rośnie, nie mogę wytrzymać i na następnym przystanku wsiadam do przedziału obok, by zobaczyć i poznać tych rodaków, którzy tak dziarsko śpiewają. To członkowie jednego z tutejszych towarzystw polskich rzemieślniczych czy przemysłowych wracali z posiedzenia do domu z żonami i córkami. Jedziemy dalej razem i po chwili śpiewamy wszyscy razem:

„Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy“.

Pieśń ta tu śpiewana i o tej porze dziwnem musiała się odbić echem w uszach i sercach tych Niemców, którzy siedzieli obok i pewno znają „das polnische Lied“.

Kilka dni temu właśnie Miquel, pruski minister finansów, w sejmie na swoją rękę oświadczał, że nasza nadzieja w to, że „jeszcze nie zginęła“, jest nadzieją naiwną. Byłbym chciał, żeby echo tej pieśni śpiewanej wówczas w wozie berlińskiej „Stadtbahny“ było doszło do ministeryalnych uszu. W kilka dni wyjechałem z Berlina jeszcze dalej na Zachód, ale i dzisiaj, kiedy wspomnę sobie ten wieczór, tę pieśń i Was, z którymi ją śpiewałem dziwna rzewność mnie chwyta za serce, i przesyłam Wam oto serdeczne bratnie pozdrowienie. Równocześnie przypomina mi się, ten cudowny wieczór na Kujawach i owo bezczeszczenie jego świętej ciszy przez naszych polskich parobków.

Hejże! Kujawiacy, jeżeli jeszcze kiedy usłyszycie waszych Maćków, Wojtków i innych Bartków, śpiewających berlińskie sprosne śpiewki, to im biczyskiem wypiszcie na plecach takt i melodyą kujawiaka tak, żeby jej do końca życia nie zapomnieli. *Ordon.*

Nasze wiece.

Nie mogąc dla braku miejsca — poświęcić szczegółowego sprawozdania wszystkim naszym wiecom z ubiegłych 2-ch tygodni, każdemu z nich poniżej poświęcamy choć krótką wzmiankę. Wszystkie one są przejawem tej niespożytości ducha polskiego, który sił nabiera w walce, a hartu — w cierpieniu. Niechajby każdy powiat, każda parafia za przykładem tym poszła i dała dowód, że jest polską i ma świadomość wagi, którą wiecom bezwarunkowo przyznać trzeba.

Na pierwszem miejscu — z powodu doniosłości sprawy — postawić należy wiec wyborczy w ***Poznaniu***. Odbył się on pod grozą rozbicia przez socyalno-demokratów. Dzięki tym obawom zauważyć można było wielką spójność i solidarność pomiędzy obywatelami rozmaitych odcieni i barw politycznych. Socyalna demokracya przyczynić się tylko może do tem większego zespolenia naszych narodowych i szczerze polskich warstw społecznych.

Wiec otworzył przewodniczący komitetu wyborczego p. dr. A. Chłapowski na sali bazarowej. Obywateli zebrało się tylu, że salę zapełnili. Przybyła na wiec także dość znaczna liczba socyalistów ze swym wodzem Kasprzakiem na czele. Zaraz na początku zaczęli socyaliści hałasem. — Przewodniczący napominał i upraszał o spokój, wyrażając, że w końcu przy wolnych głosach każdemu pozwoli się wygadać, byle odzywał się do rzeczy samej i ze spokojem. Nic to nie pomogło, burdy nie ustawały. Wtedy przewodniczący zawiesił obrady na 10 minut, a obywatele wzięli się czynnie do dzieła i hałaśników razem z Kasprzakiem powyrzucali ze sali. Nastał spokój — a wtedy obrady toczyły się z należytą powagą. Po ukonstytuowaniu biura ogłosił przewodniczący listę kandydatów na posłów, ogłaszając w pierwszym rzędzie adwokata Bernarda Chrzanowskiego, w drugim dr. Antoniego Chłapowskiego, w trzecim dr. Tadeusza Szułdrzyńskiego z Bolechowa.

Wyborcy bez dyskusyi przystali na ten wybór, a przewodniczący udzielił głosu p. adwokatowi Chrzanowskiemu, oświadczywszy, że on wygłosi sam od siebie wyznanie polityczne, jakiego w parlamencie trzymać się będzie.

Pan Chrzanowski zabrawszy głos podziękował za zaufanie — poczem zdał wobec wyborców wyznanie, jakiego kierunku polityki trzymać się będzie, by zasłużyć na to zaufanie. Oświadczył, że jest usposobienia spokojnego i nie chce walki stronnictw. W społeczeństwie wolnem ludzie pod hasłem ekonomicznem łączą się w stronnictwa — u nas stronnictw politycznych być nie powinno — u nas chodzi o żywioł polski przedewszystkiem, ale przytem popierać należy interesa wszystkich stanów — szczególniej rozwój warstw średnich i interesa klasy robotniczej, we walce o chleb powszedni i dobrobyt. Przyrzekam bronić tych warstw, a jako poseł mam prawo bronić całego żywiołu polskiego we wszystkich dzielnicach pod zaborem pruskim.

Przedewszystkiem chodzić będzie o religią. My od wieków na naszej ziemi krzyże stawialiśmy, to nasze ideały religijne, tych bronić należy. We walce o narodowość naszą my dopełniamy obowiązku, jaki rząd na nas nakłada — stać będziemy na gruncie prawnym.

Stronnictwom miejscowym nie biorę za złe, że się wzajemnie ścierają, to nie jest złem, gdy się to dzieje w kwestyach wewnętrznych — jeżeli tylko na zewnątrz będziemy zjednoczeni, to i stronnictwa istnieć mogą.

Nie potępiajmy samodzielności ludu, nie bierzmy za złe gorętszych nieraz słów. Pochwalam odezwanie się posła Bojki w Galicyi, który orzekł: „my przeciwko szlachcie iść nie chcemy, ani pod szlachtą, tylko z nią razem!“

Hasło samopomocy w ruchu ludowym przeszło na całe niewyłączne nasze społeczeństwo polskie i to hasło cenić nam należy wysoko. Niech ludzie z klas średnich sami biorą inicyatywę. I na mnie po zebraniu rozmaitych doświadczeń wionęła siła, że byleśmy byli zgodnymi,

to wobec wszelkiego nacisku sami sobie damy radę.

Gorącemi oklaskami przerywali obecni często to polityczne wyznanie wiary kandydata, a kiedy przewodniczący zapytał, czy wszyscy zgadzają się na kandydaturę p. mec. Chrzanowskiego, zerwała się prawdziwa burza oklasków i nie odezwał się ani jeden głos protestu. Również zgodzono się jednogłośnie na dalsze kandydatury, stawione przez komitet.

Następnie wywiązała się szersza dyskusya treści ekonomicznej, w której zabierali kolejno głos pp. przewodniczący zebrania, Chrzanowski, Marcinkowski, Offierski, dr. Szymański, radzca Fr. Chłapowski, Łagodzki, Pawlikowski. Fr. Andrzejewski, Kostka i Szpotański. Chodziło tu głównie o to, czy posłowie mają głosować za cłami, czy przeciw nim. Prawie wszyscy obecni bez wyjątku zgodzili się na to, aby posłowie polscy głosowali przeciw cłom i w końcu uchwalono jednogłośnie rezolucyę, wniesioną przez p. Offierskiego, aby p. Chrzanowski w Kole polskiem w Berlinie występował przeciw podwyższeniu ceł.

Przewodniczący zreasumowawszy to wszystko w krótkich słowach oświadczył, że dzięki składa za godny i spokojny przebieg wieca — oznajmił, że karteczki wyborcze w polskim języku będą ważne, a w końcu prosił, aby każdy wyborca spełnił obowiązek obywatelski. Każdy kto ma ukończonych dwadzieścia pięć lat życia jest uprawniony do oddania głosu, a głosować może choćby się do Poznania wprowadził na kilka dni przed końcem wyłożenia list wyborczych, byle zgłosił się na policyą i oświadczył, żę w Poznaniu zamieszkał, papiery okazał i upomniał się o wpisanie nazwiska w te wykazy wyborcze.

Na tem wiec zamknięto.

Drugie zebranie wyborców powiatu poznańskiego, zachodniego odbyło się dnia 10-go b. m. w Stęszewie, ponieważ pierwsze, jak wiadomo, rozbili na sali Bazarowej w dniu 27-go z. m. socyaliści.

Wspaniały widok przedstawiał liczny zastęp wyborców, których liczba do 800 dochodziła, a sala i przyległe pokoje nie mogły pomieścić wiecowników. Wszystkie stany przybyły, ażeby wspólnie radzić. Zebranie zagaił przewodniczący Komitetu, p. Glabisz z Konarzewa i przedstawił zebranym tych samych trzech kandydatów, których wybór przyjęli jednogłośnie wyborcy m Poznania na powyżej opisanym wiecu. Jednogłośnie, z wielką radością zebranie akceptuje wymienionych kandydatów. Obecnych zasmuciła wiadomość telegraficzna, że p. mecenas Chrzanowski z powodu niezdrowia na zebranie przybyć nie mógł.

Następnie odczytuje p. przewodniczący rezolucyą wieca Krotoszyńskiego i zapytuje się zebranych, czy się na takową godzą i na wysłanie do Berlina na ręce posłów pozwalają? Powstaje jeden okrzyk: godzimy się i prosimy wysłać do Berlina.

Wiec odbył się z godnością i powagą w największym spokoju, gdyż socyaliści poznańscy przewidując, że ich w Stęszewie niemiłe czeka przyjęcie, do Stęszewa na zebranie nie przybyli.

Prócz wieca przedwyborczego w Poznaniu i w Stęszewie odbyły się wiece na Wildzie i na prowincyi — w sprawie nauki języka polskiego.

Wiece te *na Wildzie*, w *Pleszewie, Koźminie i Strzelnie* wspaniałą są manifestacyą nietylko uczuć polskich, ale i politycznego wyrobienia naszego ludu. Organizatorom ich należy się cześć i publiczna podzięka.

Dnia 10-go b. m. po południu zapełniła się sala p. Jęczkowskiego na ***Wildzie*** doszczętnie wiecownikami z Wildy i okolicznych wsi. — Wiec otworzył p. Jan Katz, obywatel z Wildy powitaniem zebranych. Przewodniczącym obrano p. Łukomskiego z Wildy, a ten powołał na sekretarza p. Kamińskiego z Wildy.

W sprawie zakazu nauki religii w języku polskim zabrał głos p. dr. Szymański, skarżąc się na obecny system szkólny i krzywdy przez rząd nam wyrządzane. Następnie zabrał głos p. Stefan Chociszewski i omawiał obszernie cały system samopomocy.

Pan Szermerski, gorliwy czytelnik „Pracy“ przemawiał w dobitnych słowach o oszczędności, pracy i zaniechaniu pijaństwa, a smok nas nie zgniecie. Wygłosił przytem o sobie samym, że na obczyźnie przy pracy nauczył się czytać i pisać po polsku.

Poprosiła także o głos pani Wojczyńska z Wildy i wyznała, jaką boleść sprawili rodzicom bracia jej, którzy pożeniwszy się na obczyźnie z Niemkami, niemieckie listy pisywali do rodziców. Wyznanie to znalazło bolesny odźwięk w zebraniu wiecowników.

Przemawiał jeszcze p. Pohl, twierdząc, że rząd pruski nie popuści swych zamiarów wynarodowienia nas, więc tembardziej działać nam należy w kierunku przeciwnym.

Uchwalono w końcu rezolucyą z prośbą do Najprzew. X. Arcypasterza, aby po odrzuceniu jego wszystkich usiłowań użył swej mocy i odebrał nauczycielom germanizatorom tak zwaną: „missionem canonicam.“

Przewodniczący zreasumował w krótkich słowach przebieg wieca — złożył podziękę za spokój i powagę i — wiec zamknął.

Rezolucya:

Zebrani Polacy katolicy na wiecu na Wildzie dnia 10-go lutego 1901-go roku protestujemy przeciw kasowaniu polskiej nauki religii w dwóch wyższych oddziałach szkolnych i uważamy to za krzywdę wyrządzoną dzieciom naszym i polskiemu narodowi.

Skoro wszelkie starania Najprzewielebniejszego X. Arcybiskupa, ażeby rozporządzenie pana ministra Studta zostało cofnięte, pozostały bez skutku ponawiamy prośbę, aby Najprzewielebniejszy X. Arcybiskup zechciał wziąść pod rozwagę, czyby nie odebrać kościelnego pozwolenia, tak zwanego missio canonica, na uczenie religii tym nauczycielom, którzy uczą w szkołach dzieci polskie religii po niemiecku.

Dalej upraszamy najuniżeniej Najprzewielebniejszego Ks. Arcypasterza, żeby zechciał wziąść pod rozwagę, czy to da się pogodzić z dobrem Kościoła naszego, że przew. księża proboszczowie, sprawiający z urzędu inspekcyą nad nauką religii w szkole, muszą spokojnie patrzeć na to, jak w szkołach dzieci polskie odmawiają „Vater unser“ zamiast „Ojcze nasz.“

Wielką wagę ma wiec w ***Strzelnie***, który dowodzi, że i Kujawy zaczynają się ożywiać i jest nadzieja, że idąc za śladem Poznania, urządzać będą Kujawiacy u siebie liczne wiece, których potrzeba jest wielka, gdyż lud sam się budzi do życia, ale potrzeba mu koniecznie wskazówek. Po zniesieniu polskiej nauki religii parafianie strzelińscy, udali się z petycyą do kr. rejencyi bydgoskiej. Naturalnie bezskutecznie. Wysłali deputacyą do inspektora szkolnego p. Waschkego, a gdy tenże odmówił pośrednictwa, urządzili wiec, celem uradzenia i podpisania petycyi do ministerstwa.

Wiec odbył się na sali p. Norkowskiego dnia 2 b. m. a otworzył go p. J. Kornaszewski, mistrz stolarski.

W przemowie radził dopominać się na drodze legalnej sprawiedliwości, a iść w razie nieuwzględnienia do najwyższej instancyi. Tymczasem nie należy protestów zakładać tylko petycye podpisywać.

Przewodniczącym obrano p. dr. Cieślewicza, który w krótkiej przemowie polecał staranie o usunięcie nam wyrządzonych krzywd. Oprócz przewodniczącego przemawiali jeszcze pp. W. Kornaszewski, budowniczy, i dr. Szafarkiewicz.

Na wiec przybyli włościanie z pod Barcina i obywatele ziemscy ze stron dalszych, jak dr. T. Trzciński z Popowa. Jeżeli petycya będzie bezskuteczną, to urządzonym będzie jeszcze raz w Strzel-

nie wiec z protestem przeciwko krzywdzie nam wyrządzanej przez gwałtowny nacisk jezyka nam obcego.

Wiec w *Pleszewie* był znakomitym przejawem usposobienia szerokich warstw ludowych. Zebrało się przynajmniej 2000 osób, między któremi widziano cały szereg ludzi, którzy teraz dopiero pod wrażeniem ucisku stanęli otwarcie pod chorągwią narodową.

Zebranie zagaił o godzinie 4 po południu członek komitetu wiecowego pan Franciszek Gdeczyk z Pleszewa, i zaproponował na przewodniczącego p. Kaźmierza Lipskiego z Górzna.

Pierwszym mówcą wiecowym był p. Kazimierz Lipski z Górzna na temat o ważności języka polskiego. Mowa młodego tego obywatela, który pierwszy raz szerszej publiczności dał się poznać, piękna, na wskroś patryotyczna, wielkie na słuchaczach sprawiła wrażenie, a częste brawa, któremi ją wiecownicy przerywali, świadczyły, że zebrani na zapatrywania mówcy zupełnie się zgodzili.

Drugim mówcą był znany z prac swych obywatelskich, p. dr. Kubacki, referując o stosunkach szkolnych w powiecie Pleszewskim. Mowa ta, wybornie opracowana, opierająca się ściśle na faktach, była jednym aktem oskarżenia teraźniejszego systemu szkolnego i dała nam obraz dokładny o stosunkach, jakie w szkołach powiatu pleszewskiego panują.

Z przemówienia p. dr. Kubackiego dowiadujemy się, że w powiecie pleszewskim mamy szkół ludowych 46 i to 36 katolickich a 10 ewangielickich, że charakter szkół jest wogóle wyznaniowy z wyjątkiem w Broniszewicach, gdzie dla 9 uczni ewangielickich i 1 żyda na 200 ogółem dzieci ustanowiono przy szkole „niby“ katolickiej nauczyciela ewangielika. Mówca oświadcza się przeciw symultanizowaniu szkół ze względu na niebezpieczeństwo, jakie szkoły symultanne mają dla dzieci katolickich.

Szkoły nasze tracą coraz bardziej charakter katolicki, szczególnie zaś dzieje się to od czasu, jak obecny inspektor powiatowy, p. Neuendorff, kandydat teologii ewangielickiej, objął posadę inspektora. Pan ten na własną rękę wprowadza pacierz niemiecki przy rozpoczynaniu nauki.

Mówca przedstawił dzisiejszą szkołę nie jako zakład wychowawczy, lecz jako zakład degeneracyjny, jako instytut tresury, z którego dzieci po mozolnych trudach 8-letnich wychodzą z tak małym zasobem wiedzy, że w życiu późniejszem prawie pomódz sobie nie mogą.

Burza oklasków i braw była podzięką za klasyczny ten, z mrówczą pracą opracowany referat pana dr. Kubackiego, który olbrzymią zasługę położył, wyświecając dokładnie opłakane stosunki szkolne powiatu naszego.

Pan Maryan Szuman z Gołuchowa mówił jako trzeci o Towarzystwie Samopomocy i zaproponował następującą rezolucyą, którą wiecownicy jednogłośnie przyjęli:

„Zebrani na wiecu w Pleszewie dnia 3 lutego 1901 roku Polacy, zważywszy, że szkoła dziś niedostatecznie uczy języka polskiego i że przy systematycznem usuwaniu tegoż języka ze szkoły religijne wychowanie dzieci polskich coraz bardziej jest zagrożone, postanawiają celem popierania nauki polskiego czytania i pisania, założyć „Towarzystwo Samopomocy na powiat pleszewski,“ które za cel sobie bierze szerzenie polskich elementarzy oraz książek dla dziatwy w polskich domach.“

Przy wolnych głosach zaproponował p. Grabski z Gołuchowa następującą prośbę do ks. Arcybiskupa, ujętą w formę rezolucyi, którą wiecownicy jednogłośnie przyjęli, polecając zarazem komitetowi wiecowemu wysłanie tejże:

„Zebrani na wiecu w Pleszewie dnia 3 lutego 1901 roku Polacy udają się z gorącą prośbą do Najprzewielebniejszego Księdza Arcypasterza, aby zważywszy, że wykład religii w niemieckim jezyku służy ich zdaniem więcej celom germanizacyjnym niż religijnym, i że się przy takim wykładzie obawiają o religijne wychowanie swych dzieci, wyczerpnąwszy wszelkie inne środki misionem canonicam daną nauczycielom odebrać kazał.“

Wiec w *Koźminie,* który się odbył 3-go lutego, był również, jak i wspomniane powyżej wiece, jednem ogniwem więcej — w nierozerwalnym łańcuchu objawów budzącego się pod naciskiem krzywd ducha polskiego.

Przytoczymy tylko jeden ustęp z mowy gospodarza Nowaka:

„Otrząśnijmy się z tej obojętności, która do dziś cechowała działania nasze pod względem narodowym, otrząśnijmy się z tej obojętnosci, na którą rząd pruski tak bardzo liczy. I licząc na naszą opieszałość, nie myli się nieraz. Oto jedna próbka naszej ślamazarności! Pozostawił nam rząd pruski, przynajmniej dotychczas, w szkołach odrobinę języka polskiego, którą za dość drogą cenę wytargowali posłowie nasi w Berlinie. Kto jednak chciał, by jego dziecko korzystać mogło z lekcyi języka polskiego, od tego żądano, aby nauczycielowi wręczył piśmienne podanie, słusznie bowiem sądzono, że wielu chłopom obojętne, czy dziecko jego umie po polsku, lub nie, podania nie wniesie, a dzieci, pozostawione same sobie, nie nauczą się czytać na polskiej książce. I jak wspomniałem, nie przeliczył się zbytnio rząd pruski. Znamy przecież wszyscy rodziców, ba nawet wsie całe, gdzie nikt nie pomyślał o tem, choć nawoływano z ambony, choć odpowiednie formularze za darmo rozdawano. — Niejednemu nie chciało się nawet tego małego trudu podjąć dla dobra swego dziecka, by udać się po radę do księdza, lub pójść po formularz, wypełnić go i oddać nauczycielowi. Oczywiście nie mieli czasu, natomiast na targi i jarmarki czas zawsze jest. Na cóż tedy wszelkie nawoływania, na cóż wszelkie mowy i wiece, jeżeli nawet włościanie żałują kilku groszy na zaabonowanie gazety, jeżeli nie chcą poświęcić paru trojaków na elementarz dla dziecka, a czasu nie potrafią znaleść na nauczenie go czytania po polsku! Nie wydawajmy więc pieniędzy na rzeczy niepotrzebne, na łakocie dla dzieci, ale nie szczędźmy grosza na cele narodowe, pokażmy hakatystom, że pomimo ucisku, że pomimo prześladowań polskie pod naszemi sukmanami bije serce, polska w żyłach naszych wre krew, Polakami będą dzieci nasze, polską będą kochały mowę!“

Oby te złote słowa trafiły do serca każdego prawego Polaka!

Wiecownik.

Specyalne korespondencye „Pracy.“

Z Wrocławia.

(Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy“ jako źródła.)

Numer „Pracy,“ poświęcony naszej emigracyi w Niemczech, bardzo był dyskutowany we wszystkich towarzystwach i bardzo się przyczynił do zrozumienia potrzeb wychodźtwa. A pierwszą potrzebą jest komunikować się ze sobą. Więc też tym numerem pobudzony biorę za pióro, aby skreślić choć w krótkości obraz tutajszej kolonii polskiej.

We Wrocławiu mieszka przeszło sześć tysięcy Polaków. Kolonia tutajsza ma pewne swe cechy odrębne od kolonii berlińskiej. Jeśli kolonię berlińską zasila przeważnie żywioł robotniczy z kraju, to wrocławską stanowią warstwy rzemieślnicze oraz stosunkowo liczna inteligencya. Widać te różnice ustroju społecznego już na samym składzie towarzystw polskich. Rzadko w nich napotykamy robotników. Robotnicy polscy, o ile przybywają do Wrocławia, pochodzą z Górnego Śląska i szybko poddają się germanizacyi.

We Wrocławiu istnieje najstarsze Towarzystwo polskie wśród całej emigracyi. — Jest to towarzystwo „Przemysłowców

polskich“ założone dzięki staraniom polskich akademików w roku 1868-ym.

Towarzystwo to posiada po dziś dzień największą liczbę członków, sporą bibliotekę i abonuje znaczną ilość pism polskich. Dzięki staraniom Towarzystwa „Przemysłowców“ powstało, jako filia Towarzystwa „Przytulisko“, jako instytucya wspierająca mianowicie przejezdnych podupadłych Polaków. Obecnie zorganizowało „Towarzystwo Przemysłowców“ i kółko śpiewackie „Harmonię“, które dość pomyślnie się rozwija.

Członków liczy Towarzystwo do 60, z czego przeciętnie połowa przychodzi na zebrania. Do „Harmonii“ należą też członkowie innego towarzystwa polskiego — mianowicie „polsko-katolickie.“

To Towarzystwo „polsko-katolickie“ wyłoniło się przed kilku laty z „Towarzystwa Przemysłowców“ i obecnie dopiero może wskutek „Harmonii“ zapanują dobre stosunki pomiędzy temi Towarzystwami.

„Polsko-katolickie“ Towarzystwo liczy do 50 członków i odznacza się niezaprzeczoną ruchliwością. Odbyło ono niedawno swe walne zebranie, z którego przekonaliśmy się, że posiada ono nawet pewien fundusik w kasie. Powinno je choć w części przeznaczyć na zakup książek, biblioteki własnej bowiem nie posiada.

Najmłodszem Towarzystwem, które liczy około 30 członków, jest „Towarzystwo handlowe polskie.“ (Dotychczas ono nie zdążyło odesłać formularza z pytaniami „Pracy“ — co nie świadczy dobrze o jego energii i czytaniu gazet. Przyp. Red. „Pracy.“)

Czwartem wreszcie Towarzystwem polskiem jest „*Sokół*.“ Liczy on około 50 członków, a liczyłby bezporównania więcej, gdyby nie przeszkody stawiane przez policyą. Policya uznała Towarzystwo za polityczne i przysyła na każde posiedzenie cywilnego lub uniformowanego policyanta.

Członkowie „Sokoła“ należą po większej części do inteligentnej klasy i dlatego Towarzystwo to ma ładną biblioteczkę i trzyma szereg gazet. (Na kwestjonaryjusz jednak też nie odpowiedziało — widocznie „Pracy“ nie czyta. Przyp. Red. „Pracy.“)

Pomiędzy Towarzystwami nie panują zbyt dobre stosunki, lecz to — zdaje się — ma się obecnie ku lepszemu, poruszano bowiem na nowo zdrową myśl utworzenia komitetu Towarzystw polskich, mającego czuwać nad dobrymi stosunkami, oraz załatwiać dobre sprawy.

Do nawiązania stosunków między Towarzystwami w znacznej mierze przyczyniają się wspólne obchody i uroczystości. Niedawno urządziło Towarzystwo polsko-katolickie obchód na cześć Karola Marcinkowskiego, później zaś przemysłowe wieczorek Mickiewiczowski.

„Sokół“ od lat kilku już zbiera skrzętnie fundusze na budowę domu polskiego, któryby skrystalizował życie towarzyskie i umysłowe wrocławskiej kolonii polskiej. Fundusze jednak płyną bardzo leniwo.

Nadmieniłem, że we Wrocławiu zamieszkuje stosunkowo znaczna liczba inteligencyi. Są to albo kupcy, mniejsi i więksi, albo pochodzące z Księztwa rodziny szlacheckie żyjące z procentów. W życiu kolonii polskiej biorą udział niewielki. Jest kilku lekarzy, adwokatów i urzędników Polaków.

Młodzież uniwersytecka polska znajduje się pod podwójnym nadzorem — policyi i władz uniwersyteckich a z tego powodu nietylko sama niema Towarzystwa, ale nie może żadnego prawie brać udziału w życiu kolonii. Z polecenia rządu w r. 1899 rozwiązano istniejące we Wrocławiu studenckie Towarzystwo „Concordia“, oraz Towarzystwo „Górnoślązaków.“ Ani interpelacya posłów polskich, ani inne kroki do zniesienia zakazu nie doprowadziły.

Opieka duchowna nad Polakami we Wrocławiu nie jest lepsza niż na emigracyi wogóle. Co prawda odbywa się co niedzielę kazanie polskie w kościele św. Krzyża, ale wygłaszają je przeważnie klerycy z alumnatu na próbę i to w łamanym polskim języku. Są to przeważnie Górnoślązacy, których w seminaryum nauczono zapatrywać się na język polski jako na język klasy robotniczej i niewykształconej. Msza odbywa się bez śpiewu polskiego, pomimo, że Polacy wrocławscy w tym kierunku czynili u władzy duchownej starania. Nabożeństwo odbywa się o 9-tej rano, więc z powodu znacznych odległości rodziny polskie z dziećmi przybywać na nie nie mogą i kościół zazwyczaj w tej porze pustkami świeci. Natomiast w Tumie o dogodnej porze — bo o 10-tej i 11-tej znaleźć można tłumy wieśniaków polskich pracujących w okolicy podmiejskiej.

Polacy wrocławscy odczuwają boleśnie zakaz śpiewania polskich pieśni nabożnych w kościele. Należałoby pomyśleć o zwołaniu wieca w tym celu, aby żądaniom tym naszym nadać większą siłę. *Silesius.*

* * *

Paderborn, 3. 2. 1901.

Pozdrowienie Pracy!

We wtorek, 29-go stycznia r. b. odbyła się u słuchacza teologii przy tutejszym fakultecie p. O., zamieszkałego w Coll. Leon. ścisła rewizya. Czemu? Bo akademik nieborak przez trzy lata był na Chełmińskiem gimnazyum. Wychodząca w Paderbornie gezeta „Westf. Volksblatt“, coprawda podaje inny powód, a to „blasse Polenfurcht“, ale temu nie wierzę, bo Niemcy, szczególnie pokolenie Bismarcka, nie boją się krom Boga, niczego na świecie! (?)

Co to był za rejwetes! Oprócz radcy sądowego i tegoż sekretarza był jeszcze jakiś komisarz i dwóch policyantów. Była właśnie pora obiadu, i już, już p. radca chciał lecieć wprost do jadalni po zbrodniarza, na szczęście nie dopuścił tego dyrektor zakładu, obawiając się niezawodnie hańbiącego śmiechu akademików, na jaki by się był wystawił dostojnik państwowy. Wyproszono więc p. O. z sali i oznajmiono, że na wyższy rozkaz ma się odbyć u niego poszukiwanie za polskiemi pismami i drukami. Idąc schodami na dół p. radca kilka razy się obejrzał, czy czasem p. O. nie zamierza uciec. Gdy wszyscy się zeszli w pokoju, akademik p. O. czemprędzej biegnął do biurka, i wyjął coś białego. Mieliście państwo widzieć jak radca, sekretarz komisarz i pikelhauba za nim lecieli! Tymczasem p. O. z tą samą szybkością poleciał do szafki i wyjął pudło z tytuniem. Jakie rozczarowanie dla urzędników; owe białe to gilza a nie żadne pismo! Po pierwszy raz niezawodnie widzieli jak to się robi papierosa, więc patrzeli jak na dziwo. P. radca pokazał legitymacyę i zaczęli szukać najprzód naturalnie w kieszeniach. Wykazało się, że p. O. miał przy sobie chustki dwie — niewiemy, czy sobie radca spamiętał, która była czystą, a która brudną — spis prelekcyi, kawałek gazety francuzkiej, 75 fenygów państwowych i ołówek. Po co nudzić opisywaniem, jak szukano w szafie, w umywalce, w koszu, w biurku, w szufladach, i po wszystkich kątach. Dosyć, że powiem, rewizya trwała od pierwszej z południa aż do półczwartej i tak dalece szukających zmęczyła, że w końcu, koło trzeciej pozdejmowali paltoty. Policysta miał oczywiście więcej taktu, gdyż zaraz z początku zdjął hełm. Zresztą przyzwoicie się zachowano. Nie szukano ani w łóżku ani pod łóżkiem, szafy nie odsuwano od ściany, a i w umywalce ściśle nie rewidowano. Prosiliśmy p. O., by nam nadesłał spis zebranych pism i druków, nie mogliśmy go atoli do tego skłonić, bo powiada, oryginał dam sobie „*in piam memoriam*“ zaszklić, a odpisać się nie opłaci, bo rejestr zbyt długi. Dowiedzieliśmy się z wiarogodnej strony, że zabrano między innemi: Trylogię Sienkiewicza, Poezye Mickiewicza, Dzieje Polski Morawskiego, Encyklopedyę Macierzy Polskiej, Książkę do nabożeństwa, Dzieje Śląska, Konecznego, Rozprawy Libelta, Z przeszłości Śląska Sońskiego, Rozmyślania o męce Pańskiej, O Socyaliźmie Jackowskiego T. I., Literaturę polską Tarnowskiego i — o dziwo! Homera boskiego i Horacyusza miłego i gra-

matykę hebrejską! To rzeczywiście szczyt kultury 20 wieku! Lecz na tem nie koniec. Poszły w miech i fotografie (5) i wizytówki i karty z widokami i bez widoków i trzy listy od krewnych i tuzin bibułek i piosenki pisane — i „proposita“ z rekolekcyi łacińskim językiem pisane. Chciano zabrać i Biblię polsko-łacińską i kilka karteczek reklamowych jakiejś tam rosyjskiej fabryki gilz, tylko że p. O. ulitował się nieświadomości urzędnika, przekładając mu, że siebie i państwo shańbi. Nierozsądny był, niechby był zabrał.

Ponieważ miech, jaki był policysta przyniósł, wykazał się za mały, wysłano go po drugi do miasta. Przy tej sposobności przyprowadziła pierwsza pikelhauba drugą do pomocy. Wyszli w końcu i zostawili po sobie porządek pruski.

Na drugi dzień były przesłuchy. Pan O. z początku chciał zamilczeć, bo bezczelność pruska go rozburzyła. Namyślił się jednak powiedzieć wszystko, i wyznać, że o nijakiem towarzystwie gimnazyastów w Chełmnie nic nie wie. Pan radca zwykłym fortelem — choć poniekąd bardzo głupim — chciał przekonać p. O., że sądy już o wszystkiem wiedzą, że istnieje jakieś towarzystwo „Maryanie“, że istnieje gazeta „Pierwiosnek“, że najlepiej bić czołem przed pruskim nosem i potwierdzić domysły „Prajsów“ z Chełmna i z innych miast. Chciał przebić go oczyma, lecz ani jedno ani drugie mu się nie udało, i w końcu — proszę się nieśmiać — ot co powiedział? Że rzeczywiście dotąd nic pewnego nie wiedzą, że dopiero śledzą, że chcą dopiero coś wynaleść. Naturalnie, że dosłownie tego nie powiedział, ale mniejwięcej tak przebąkiwał. Jak się teraz dowiadujemy z Chełmna, sędzia śledczy z Torunia, tak samo w Chełmnie twierdził, że ów O. w Paderbornie wszystko zdradził, i to nim jeszcze p. O. był na terminie u pana v. H. Przychodzi mi tu na myśl piesek głupi mego przyjaciela co to też wszędzie wąchał i póty wąchał, póki mu się to — nie zbrzydziło...

Nietylko pusty śmiech, ale wstyd człowieka pali. Prusakom naturalnie nigdy się takie coś nie może zdarzyć, bo — skóry nie mają, inaczej by powinna była już dawno od wstydu popękać. Poczciwe jakieś niemczysko mówiło, że ta cała historya albo bajką z tysiąca i jednej nocy, albo też żywym obrazkiem illustrującym uroczysty obchód 200 letniej rocznicy państwa pruskiego. O tak, istną komedyą, a widzami — świat!!

Zabrali oczajdusze też jeszcze kilka nowelek, całą kupę wierszów, ***16 egzemplarzy „Pracy“***, tak samo „Wiarusa Polskiego“ i inne niewinne pisma. No, niech się ucieszą np. takim wierszem: „Do Bismarcka“, którego koniec może sobie zanotują:

Wrogu, pychą zaślepiony
Kara cię nie minie —
Przyjdzie Grunwald na Teutony
Polska nie zaginie!

Czołem! Braliński.

Z TYGODNIA.

Europa wciąż jeszcze pozostaje pod wrażeniem zmiany tronu w Anglii. Konsekwencye zmiany tronu w Anglii żywo zajmują prasę rosyjską i omawiane są z rozmaitych punktów widzenia. Mimowoli dzienniki wysuwają przy tej sposobności na pierwszy plan osobę cesarza Wilhelma więcej, niż nowego króla Edwarda VII. Ostatni pobyt cesarza niemieckiego w Anglii jest dla prasy rosyjskiej doniosłym objawem, z którego wyciąga rozmaite możliwe horoskopy na przyszłość.

„Birżew. Wiedomosti“ zwracają uwagę, że dotychczas osobiste sympatye obecnego króla angielskiego, były raczej po stronie Francyi i Rosyi, a nie po stronie Niemiec. Cesarz Wilhelm jednakże, przedłużając swój pobyt na dworze angielskim do dwóch tygodni, chciał nawiązać osobisty stosunek z królem Edwardem VII, a taki stosunek usuwa nierówności i zbliża monarchów pomiędzy sobą lepiej, niż usiłowania i prace najzdolniejszych i najenergiczniejszych dyplomatów.

W każdym razie — pisze dziennik rosyjski — zbliżenie pomiędzy Anglią a Niemcami na tle kwestyi wschodnio-azyatyckiej i zachowanie się gabinetu berlińskiego wobec wojny południowo-afrykańskiej — są to fakta, w których oświetleniu obecna wizyta cesarza Wilhelma w Anglii, nabiera szczególnej doniosłości. Część prasy zachodnio-europejskiej upatruje w tem dowód ścisłego porozumienia się Anglii z trójprzymierzem... Co się tyczy Rosyi, jej polityka zagraniczna nie daje się powodować przypadkowym zdarzeniom i stale zdąża do utrzymania pokoju, nie myśląc o terytoryalnych nabytkach.

Nowy król angielski wydał orędzie do „swych ludów“, obiecujac im pracę nad rozwojem ekonomicznym krajów. Ciekawem jest to, że w manifeście swym ogłosił się już władcą Transwaalu i Oranii, podczas gdy faktycznie wojska angielskie ponoszą fatalne porażki.

Wojska angielskie pod wodzą Knorra spotkały się 29 z. m. z armią Deweta; nie doszło jednakże do walnej bitwy, a w drobnych utarczkach odnosili podobno Anglicy zwycięztwo. Ze strony Burów zostało na placu boju pięciu zabitych; trzech wzięto do niewoli; Anglicy stracili dwóch, a trzech mają ranionych.

W angielskich pismach kursuje dzienna pogłoska, że Wilhelm II otrzymał misyę pośrednika pokojowego między Anglikami i Burami. Natychmiast po powrocie do Berlina ma prezydent Krüger otrzymać audencyę u cesarza niemieckiego, która ma stanowić pierwszy krok w tej roli pośrednika.

Wieść ta rozeszła się podobno wskutek pogłoski o wzięciu naczelnego komendanta Anglików, Kitchenera do niewoli burskiej.

Wiedeń jest obecnie placem niebywałych skandalów.

Sesyę Rady państwa otworzył uroczyście sam cesarz. Na przyjęcie przybyli do Burgu bardzo licznie zebrani posłowie do Rady państwa i członkowie Izby panów, dalej arcyksiążęta i członkowie ciała dyplomatycznego.

Cesarz, arcyksiążęta i ministrowie zjawili się w sali tronowej Burgu o godzinie 12 w południe. Po prawej stronie tronu stanęli członkowie Izby panów, po lewej członkowie Izby posłów. Cesarz usiadł na tronie i nakrywszy głowę donośnym głosem odczytał mowę tronową, w której była nieprzychylna dla Czechów zapowiedź. Wobec tego już w pierwszym dniu doszło do tumultów. Czesi zażądali, by mowa tronowa wstępna ministra Koerbera została przetłómaczoną na czeski język. Potem gdy prezydent parlamentu (nie z wyboru, a tymczasem ze starszeństwa) Polak Weigel zaczął mowę od wspomnienia pośmiertnego za królową Wiktoryą, niemieccy radykali poczęli hałasować i awanturować się z Czechami.

Mimowoli przypominają te awantury inną awanturę — której w Poznaniu byliśmy świadkami, gdy do naszych zebrań wyborczych chcieli socyaliści zastosować obstrukcyjną taktykę wyborczą.

Ale kandydat ich Kasprzak jest dziś osobistością moralnie uśmierconą, zarząd partyi bowiem rozesłał do pism znany komunikat, który zamieściliśmy w zeszłym numerze.

Naturalnie Kasprzak znalazł się za drzwiami, gdy przyszedł „robić politykę“ do sali bazarowej.

Król Milan serbski umarł dnia 11-go b. r. w 46-tym roku życia. W 14-ym roku po zamordowaniu ojca został mianowanym księciem Serbii, dnia 22-go sierpnia 1872-go r. po dojściu do pełnoletności objął rządy państwa i poślubił w r. 1875-ym Natalię Keszko, zarozumiałą córkę pułkownika rosyjskiego,

z którą się w roku 1889-ym rozwiódł. W roku 1892 im zrzekł się tytułu króla i wszelkich praw królestwa na rzecz syna, 12 letniego Aleksandra, który w roku zeszłym poślubił mieszczankę, Dragę Maszin. *M. B.*

PRZEGLĄD PRASY.

W ostatniej debacie polskiej w parlamencie w szeregu naszych mówców wystąpił też i książę Ferdynand Radziwiłł, prezes Koła Polskiego. Zdając szczegółowo sprawę z rozpraw w poprzednim numerze, umyślnieśmy opuścili z mowy jego wstęp o „agitacyi polskiej", który nam się wydawał wysoce niestosownym w ustach posła polskiego. Cenzurując w ten sposób mowę księcia Radziwiłła, chcieliśmy usunąć powód do krytyki jego wystąpienia, która nam się wydawała w obecnej chwili nieodpowiednią i niepożądaną; podać zaś inkryminowany ustęp mowy księcia, bez równoczesnego wywarcia nad nim bardzo dosadnej krytyki — niepozwalały nam nasze zapatrywania.

Jeśli książę odezwał się, że „potępia agitacyą wielkopolską w imieniu społeczeństwa, którego jest reprezentantem" to mógł przypuszczać, że powaga jego nie jest znów tak wielką, aby nie miał się znaleść głos krytyki. Skoro głos ten się już znalazł i sprawa została poruszona publicznie, uważamy i my za obowiązek podać dalej do wiadomości publicznej artykuł innego pisma, w jaknajbardziej stanowczej formie dezawujący zapatrywania księcia Radziwiłła. „**Goniec Wielkopolski**", pisze:

„Ks. Radziwiłł kilkakrotnie zarzekał się, że on i „większość narodu" z „agitacyą polityczną" nie mają nic wspólnego.

„Zapytujemy, cóż Niemcy — do których książę przemawiał — rozumieją przez polską agitacyą polityczną? Otóż wiadomem mu być powinno, że rozumieją wszystko, cokolwiek czynimy dla zachowania odrębności narodowej. „Agitacyą polską" jest w oczach Niemców pruskich zawięzywanie towarzystw, odbywanie zebrań, pisywanie i czytanie polskich gazet, dopominanie się o równouprawnienie językowe, rozpowszechnianie książek polskich, traktujących o naszych dziejach i zawierających skarby naszej narodowej twórczości, ba, nawet nauka prywatna języka polskiego i łączenie się sióstr i matek naszych w celu wzajemnej zachęty, ażeby pod polską strzechą rodzinną ocalał język ojczysty!

„Oto w czem się objawia nasze narodowe życie, — oto co razi szowinistów pruskich jako „agitacya wielkopolska!"

„Zapytujemy, czy to grzech a nie obowiązek raczej? Zapytujemy księcia, czy to „demonstracyjna", „czcza" agitacya, którejby w Berlinie zaprzeć się wypadało? A po za tem, — zapytujemy również szanownego mówcę — jakaż inna agitacya nurtuje w masie polskiego plemienia?

„Wie o tem doskonale rząd, wie też p. Podbielski, że w narodzie polskim panuje, jak panował przez lat sto ruch, nie zakrojony na to, ażeby Niemcom, czy specyalnie Prusakom coś wydzierać, ażeby ich krzywdzić, uciskać i gnębić, ale, żeby uchronić od zatraty to, co nas z przeszłością wiąże — czyli że panuje ruch jedynie samozachowawczy. Ten ruch jest słuszny i pozostanie taki, choćby Prusacy go nazywali „potępienia godną agitacyą polską". Tego ruchu, tego ducha zapierać się nie ma powodu, zaniechać go nam niewolno! Zaniechanie tego ruchu pod jaką bądź formą się objawiającego byłoby odszczepieństwem, zdradą świętej sprawy, byłoby upodleniem! A jeśli ruch ten samozachowawczy, jawny, legalny nazywają szowiniści pruscy bezprawną agitacyą czy zbrodnią, to nam, Polakom, unikać należy nawet pozoru, jakbyśmy frazes taki, choćby w częściowem odniesieniu akceptowali. Mamy prawo do życia, jako naród i tego życia bronimy dziś w tej, jutro w innej formie!"

„Nie kompromitujmy się przed Niemcami na arenie parlamentarnej, że kiedy oni uświęcają w pamięci narodu swą „walkę wyswobodzenia", z pod jarzma napoleońskiego, my dziś pragnęlibyśmy zatrzeć wspomnienia dziejowe takich samych walk tylko, że bardziej kwawych, bardziej bohaterskich choć nie szczęśliwych! Nie bezcześćmy ubolewania wyrazami tego, co naszą dumą!"

Głos powyższy jest może nieco za ostry, ale też nie bez słuszności. Atoli trzeba też mieć i to na uwadze, że położenie księcia Radziwiłła jako — kuzyna domu cesarskiego, a równocześnie prezesa Koła polskiego jest oczywiście trudne, a nieraz i przykre.

Z tejże samej debaty polskiej w niemieckim parlamencie wyjmujemy interesujący szczegół, który świadczy, z jaką niezwykłą ostrożnością władze pruskie ścigają objawy ducha polskiego w wojsku.

W dzisiajszym numerze właśnie czytelnicy znajdą ciekawy list pewnego żołnierza pruskiego, Polaka, pisany do nas — a w tym liście opis hakatystycznej kontroli nad naszymi rodakami. Podobny temu list, również od jednego z naszych czytelników, wpadł (za czyjem pośrednictwem niewiadomo, w ręce pruskiego ministra wojny, który — według relakcyi „**Dziennika Poznańskiego**" tak przemawiał:

„Wielce charakterystycznemi w tym względzie są listy, znalezione u żołnierza w koszarach na Szląsku. Pewien górnoszląski polski agitator nie wahał się wysłać do żołnierza, służącego królowi pruskiemu, takiego listu:

„Pozdrawiam cię serdecznie w nowem Twojem położeniu tak dla Ciebie przykrem. Opisz mi Twoje nieszczęście, ponieważ i ja tam byłem. Nie obrzydzaj sobie jednak wszystkiego, gdyż Ci to niepomoże, a straciwszy ochotę, dolę sobie pogorszysz. Cóż robić, nie ma chwilowo innej drogi wyjścia, musimy na razie tych Pr... obsługiwać Nic nie szkodzi. Nauka nie idzie w las. Ze swych wychowańców doczekają się oni raz dobrych majstrów — na własne skóry. Ucz się pilnie, gdyż ci się to kiedyś przyda, myślę, że mnie rozumiesz."

„W innym liście ów polski agitator jeszcze jest otwartszym:

„Zasyłam serdeczne pozdrowienie od siebie i od żony. Donoszę ci, że czytam właśnie „Pracę". Przeklęta pruska barbarzyńska polityka, oby naczelników państwa djabli piekli i przygwoździli ich do słupa męczeńskiego. Codziennie niemal nowe napaści na naszą polskość, nowe gwałty djabelskiej złości.

„Germanizacya chce nas gwałtem pożreć, ale nas nie pożre, tak jak nas nie zdusił sławny Bismarck kolonista, który dziś jest zapewne służalcem Lucypera, tak jak inny panujący, mianowicie stary Fryc, za przywłaszczenie Polski. A więc czytam „Pracę" i gniewam się okropnie, ściskam pięście, które, gdybym tylko mógł, położyłbym na djabelskich plecach tych... Ale trudno, boli mnie najwięcej, że jesteśmy bezradni, podczas gdy nieprzyjaciel nad nami tryumfuje. Bóg jest sprawiedliwym, przyjdzie czas, gdzie zapłacimy, co się komu należy. Daj Boże, aby to nastąpiło jak najwcześniej. Pytasz mnie w ostatnim liście, kiedy rekruci będą mieli lepiej. Na to ci odpowiem, że nie wcześniej, póki Niemcy nie zostaną poskromieni. O, gdybyśmy w polskiem wojsku mogli służyć!"

„M. p, tak pisano do żołnierza pruskiej armii. Nie inaczej dzieje się w sercu Niemiec, w Wesfalii. Sąd w Dortmundzie skonfiskował książkę do nabożeństwa, której setki egzemplarzy znaleziono u pewnego górnika.

„Książka rzeczona przepełniona jest najjadliwszemi wycieczkami przeciwko Niemcom i kończy się tak:

„Matko Boża, królowo Polski, zbaw Polskę.

Wszyscy święci, obrońcy polskiej rzeczypospolitej, módlcie się za nami!

Z moskiewskiej i pruskiej niewoli, wybaw nas Panie!

Przez męczeństwo 30,000 za wiarę i wolność poległych rycerzy, wybaw nas Panie!

Przez męczeństwo 20,000 obywateli Pragi, poległych za wiarę i wolność, wybaw nas panie!

Przez męczeństwo pomordowanych przez prusaków żołnierzy, wybaw nas Panie!

O śmierć na polu walki, prosimy cię Panie!

O walkę za niepodległość i wolność naszej ojczyzny, prosimy Cię Panie!

O równość i braterstwo polskiego narodu prosimy Cię Panie!

O polski kraj, prosimy Cię Panie!

O spieszne ogólne hasło „Do broni"! prosimy Cię Panie!"

„Taką książkę, mości panowie, rozpowszechniano w Prusach w roku 1900!"

Wobec powyższych faktów zalecamy naszym czytelnikom, którzy korespondują z krewnymi, służącymi we wojsku, aby w listach do nich byli nader ostrożni. Natomiast przesyłanie im „Pracy", nie należy do „karygodnych czynów" i żołnierzy za to władza wojskowa karać nie może, gdy znajdą u nich numer polskiego pisma.

Na Górnym Śląsku dokonywuje się zwolna przełom w usposobieniu politycznem polskiego ludu. Polacy nie chcą już występować pod narzuconą im maską centrowców, lecz domagają się odpowiedniej reprezentacyi — to jest posłów polskich. Przejawy tego przełomu zapatrywań widoczne się stają na wszystkich niemal zebraniach i wiecach —

a ostatnio uwydatniły się na zjeździe w Bytomiu, gdzie przeciw posłom niemieckim wystąpił pan Korfanty imieniem młodzieży górnośląskiej.

Nie mając pewności co do charakteru całego faktu, oraz nie przypisując sobie wyłącznej nieomylności, nie występujemy przeciw *Katolikowi*, który p. Korfantego za to zgromił, ale uważamy na podstawie osobistej znajomości p. Korfantego *za powołanego rzecznika* zapatrywań młodzieży polskiej, a nie wchodząc w to, czy jego wystąpienie co do formy i miejsca było trafne, solidaryzujemy się z nim co do samej istoty rzeczy t. j. popieramy przekonanie, że lud górnośląski polski powinien zadokumentować swą polskość przez wybieranie tylko swoich *polskich* posłów, a otrząśnięcie z siebie centrowych przewodników niemieckich.

Zresztą o tem rozpiszemy się niebawem obszernie, z wielu stron bowiem mamy już szereg odpowiednich korespondencyi.

Przytaczamy tu tylko artykuł **Dziennika Berlińskiego**, który swój pogląd wypowiada w formie następującej:

„Górny Ślązk, ziemia bogata i przesycona potem polskiego robotnika, Górny Ślązk, Staropolska, budząca się z długiego letargu, czeka na swego Mesyasza, swego wybawiciela. Chwilowo jeszcze słucha szorstkich rozkazów pruskich milionerów-wyzyskiwaczy, lecz szemranie i głosy niezadowolenia stają się coraz głośniejsze; brak tylko wodzów, którzyby stanęli na czele tych mas niezadowolonych, brak Mesyasza.

„Dwa szykują się tymczasem obozy, ażeby opanować Górny Ślązk; od tego, który obóz zwycięży, zależeć będzie, czy ziemia ta raz na zawsze zamieni się w polską, czy też w gniazdo socyalizmu: z jednej strony zbliża się polska narodowa demokracya, z drugiej — socyaliści.

„Przełom na Górnym Ślązku jest zbyt widocznym. To, co lud tamtejszy dotąd ze strony polskiej otrzymywał, dziś mu już nie wystarcza i wystarczyć nie może, socyaliści dają mu więcej; jeżeli przeto nie chcemy z góry zrezygnować ze zwycięstwa, musimy socyalistom co najmniej placu dotrzymać, nie pozwolić się bezustannie wypierać. Kto tego pojąć nie może, niech wszystko inne czyni, tylko niech się nie zajmuje pracą społeczną, niech nie kompromituje siebie i drugich. Jak wobec gorączkowej krzątaniny socyalistów śmiesznem wprost wydaje się nawoływanie, żeby na Górnym Ślązku tylko wolno i ostrożnie postępować!! Tak: „wolno, wolno, bez swawoli, bo złamana nóżka boli“; wolno, tak wolno, że lud oprzykrzywszy sobie gospodarkę politycznych fagasów i nędzarzy, sam otrząsa się z dotychczasowych przesądów, sam rwie się do nowego życia, do światła.

„Że tak jest, tego najlepszym dowodem znany Zjazd delegatów towarzystw górnoślązkich, gdzie ogół oświadczył się za pchnięciem sprawy ludu górnoślązkiego na nowe tory, a wielcy politycy w guście pana Dombka za stosowne uważali, zdrowe myśli i rzetelne usiłowania ludu paraliżować.

„To też nie obył się bez epilogu ów Zjazd w Bytomiu, na którym imieniem młodej górnośląskiej inteligencyi wystąpił p. Korfanty, co szczegółowo opisaliśmy w „Ślązkim numerze“.

„Pewnego pięknego poranku ukazał się w „Dzien. Ślązkim“ protest przeciwko wystąpieniu p. Korfantego na Zjeździe, protest podpisany rzekomo przez „prawie wszystkich studentów Górnoślązaków.“

„Protestujący odmawiają p. Korfantemu prawa przemawiania imieniem młodzieży akademickiej, oświadczają się przeciw treści wywodów p. K., zarzucają mu niezdolność trzeźwego myślenia a chwalą oczywiście rozsądne i dzielne postępowanie p. Dombka.

„Niestety wydało się, że ów słynny protest sfabrykowały dwie czy trzy jednostki, na które ogół kolegów spogląda z politowaniem. Jeden z tych panów swego czasu publicznie oświadczył, że Górnoślązacy nie mają najmniejszego powodu brania udziału w polskich uroczystościach narodowych, j. n. w obchodzie listopadówki, za co go oczywiście wykluczono z grona prawdziwych Polaków.“

O sprawie powyższej nie rozpisujemy się szerzej, jej bowiem strona osobista nie należy do rzeczy — a stroną zasadniczą niebawem się zajmiemy — w numerze poświęconym sprawom Górnego Śląska. *M. B.*

Głosy od Przyjaciół.

Z prowincyi.

Kochana „Praco!“

Dowiedziawszy się, że naszej ogólnie znanej i lubionej autorce „Szarego prochu“ i „Dewajtisa“ — pani *Maryi Rodziewiczównie* spłonęła jej wioska Hruszowa i że sympatyczna ta autorka znajduje się obecnie wskutek tego w bardzo przykrem położeniu, pospieszam przesłać na ręce kochanej „Pracy“ mój datek, w ilości 10 marek., z życzeniem, aby i inni czytelnicy poszli za moim przykładem i podali dłoń pomocną tej zacnej autorce, któraby z pewnością nagrodziła nas za to nową, piękną powieścią, wzbogacając w ten sposób rodzimą literaturę.

Społeczeństwo nasze powinno dać w ten sposób dowód, że umie pamiętać o swych pracownikach zasłużonych na niwie literackiej i zawsze im gotowa podać dłoń pomocną. Pomagajmy sobie nawzajem w utrzymywaniu ziemi ojczystej, a znajdziemy w sobie dość siły do przetrwania niedoli.

Z szacunkiem

H. H. pilna czytelniczka.

Uwaga: Red. „Pracy“ przeznacza od siebie na tenże cel również 10 mrk. — Z dniem dzisiajszem, więc z chwilą otwarcia składek mamy 20 mrk. przeznaczonych na cel powyższy.

Dalsze składki chętnie przyjmujemy.

* * *

Z Bydgoszczy

Wobec zbliżającego się rozpoczęcia roku szkólnego znaczna liczba rodziców zmuszoną jest zdecydować się na wybór szkoły i stancyi dla syna lub córki. W dzisiejszych stosunkach naszych jest to kwestya pierwszorzędnego znaczenia, w jakiem otoczeniu wzrasta młode pokolenie, czy nie jest narażone na zatratę poczucia narodowego. Umieszczając zatem dzieci w domu obcym, niechaj rodzice się przekonają, czy osoby, których opiece będą powierzone, nie są same zarażone zniemczeniem. Niestety niejeden ojciec lub matka ani się nad tem zastanowią, że sfera, w której dorastający syn i córka wzrastają, decydujący wpływ wywiera na całą ich przyszłość.

Wiemy dobrze, jakie w tym kierunku dzieją się nadużycia i bezprawia. Oto dyrektorzy i przełożone szkół nowo przyjętym dzieciom wskazują sami stancyą w domu niemieckim, dając przez to rodzicom do zrozumienia, że w razie niezastosowania się do ich woli uczeń lub uczennica narażeni będą na niełaskę nauczycieli. Za pretekst służy naturalnie wzgląd na wydoskonalenie się w języku niemieckim. — Rodzice zalęknieni i powodowani fałszywą obawą o los dziecka w szkole, oddają je do domu niemieckiego, często protestanckiego, w którym dziecko niedługo zapomina mówić, myśleć i czuć po polsku. I mozolna praca rodziców, szlachetny wpływ domu rodzicielskiego, zamiast przynieść obfite owoce idzie na marne, a dzieci nasze wyrastają na jakieś połowiczne istoty, bez poczucia godności narodowej, bez poszanowania rodzinnych tradycyi.

Weźcie to pod rozwagę, kochani rodzice, zanim dzieci wasze oddacie w ręce obce. Są jeszcze, dzięki Bogu, w każdem mieście rodziny szczeropolskie, które chętnie przyjmą chłopca lub panienkę, otoczą ich staranną opieką i w tym samym duchu, co rodzice przeciwdziałać będą wpływom germanizacyjnym, z którymi na każdym kroku walczyć nam należy. *Ska.*

* *

Bytom (Górny Śl.)

Szanowna Redakcyo!

Dnia 11-go zeszłego miesiąca odbył się w Bytomiu wiec w sprawie języka polskiego, pierwszy w tym rodzaju i dlatego zasługujący na uwagę w gazetach. Życzyć by należało, aby u nas jak najczęściej odbywały się podobne wiece ku podniesieniu ducha polskiego. Może w ten sposób przekonają się nasi przywódcy na Górnym Śląsku, że czas już byłoby pomyśleć o naszych własnych posłach do sejmu i parlamentu. Lud nasz czuje już dobrze, że przywódzcy kazali mu dotychczas wydobywać kasztany z ognia dla Niemców, wprawdzie katolików, ale zażartych nieprzyjaciół polskości. My tu na Górnym Śląsku czujemy się równie dobrze ludem polskim, jak jest nim lud nasz w Poznańskiem. My nie chcemy posłów centrowców, bo to nie nasi, a gdyby który nawet był nam życzliwy, to skrępowany jest względami i regulaminami swej niemieckiej partyi. Musi być teraz koniec tego wysługiwania się Niemcom, jeśli nie chcemy, aby socyaliści cały Górny Śląsk zdobyli.

Te sprawy trzeba poruszać na wiecach. Dałby Bóg, żeby tak który z posłów naszych z Poznańskiego zajął się kiedy zorganizowaniem kilku wieców i pokazał ludowi tutajszemu, jak to Polacy przemawiać potrafią na wiecach.

Proszę, aby Redakcya „Pracy“ o tej sprawie szczególnie pamiętała.

Klimcio.

Hamburg.

Szanowna „Praco“.

W uzupełnieniu poprzednio umieszczonej korespodencyi z Hamburga chcę dodać kilka szczegółów zasługujących na przedostanie się do szerszej publiczności.

Nabożeństwa polskie odbywają się regularnie co tydzień. Coprawda władza wyższa duchowna nie chce zezwolić na to, aby co niedzielę odbywały się nabożeństwa z kazaniem polskiem, ale za to nabożeństwo polskie z kazaniem odbywa się co niedzielę popołudniu.

Znaczna liczba wychodźców polskich w Hamburgu znajduje zatrudnienie przy robotach ziemnych, które trwają tylko przez lato. Jesienią więc znaczne partye naszych emigrantów wracają do kraju z zaoszczędzonym groszem, aby znów przybyć tu dotąd wczesną wiosną. Coraz częściej się zdarza, że tutajsi Polacy, gdy się chcą żenić, jadą na parę tygodni do kraju w tym jedynie celu, aby przywieźć żonę-Polkę.

W styczniu odbył się tu urządzony staraniem „Towarzystwa Rękodzielników“ wieczorek Sienkiewiczowski, który się udał wyśmienicie.

Z uszanowaniem

M. W.

* * *

Szanowna Redakcyo!

Nie podaję daty, ani skąd piszę, bo tajemnica sama wyjaśni treść listu. List sam zaś piszę nie własną ręką, aby mnie do odpowiedzialności nie pociągnięto. Cieszyć się będę, gdy Redakcya kochanej naszej „Pracy“ ogłosi ten list mój, doręczony przez znajomego; abym się mógł na całe półtora roku pożegnać z miłymi Czytelnikami „Pracy“.

Jestem żołnierzem pruskim. — Na początku pytali mnie się, kim jestem, odpowiedziałem, że jestem Polakiem i od tego czasu hakatyści mnie pilnowali. Ponieważ z domu przysyłali mi rodzice „Pracę“ — więc dzięki temu pismu żyłem i czułem z wami wszystkimi, jak prawdziwy Polak. Ale starszy mnie raz złapał na czytaniu i odebrał „Pracę“. Gdy odczytali, co w niej stoi, padł na nich wielki strach i ani jednego listu do mnie nie puścili, aby nie przeglądać i tłomaczyć. Potem zaczęli w biurze feldwebla wypytywać się mnie o rozmaite rzeczy... Następnie poczęli mi tłomaczyć, że ja nie jestem wcale Polakiem, że Polaków niema i w rezultacie przesadzili mnie aż do — Alzacyi, skąd ten list piszę i to do takiej kompanii, gdzie ani jednego Polaka niema, a to zapewne w tym celu, abym na urlop w polskie strony nie mógł jeździć. —

A te dwie biedne „Prace“ i listy moje od rodziny posłali do Berlina.

Ale ja pozostanę wiernym krajowi Polakiem i choć pruski mundur kryje dziś moje polskie serce, to ono zawsze gorąco bije dla całej polskiej ziemi.

Życzę, aby kochana nasza „Praca“, gdy ją znowu zobaczę za półtora roku, miała tyle abonentów, ile berliński „Local-Anzajger“ i aby była taka gruba, jak leksykon Majera.

Huzar — pułku piechoty.

* * *

Bruch (w Westfalii), w lutym.

Kochana „Praco!“

W Westfalii szerokie koła ludności polskiej ogarnia wzburzenie na widok krzywd doznawanych ze strony duchowieństwa niemieckiego.

Sprawę polskiej spowiedzi traktują księża westfalscy z zaciekłością, która prowadzi wprost do dziwolągów i pod względem etycznym i nawet — obrzędowym. Tak np. przy słuchaniu spowiedzi księża uprawiają wobec Polaków politykę germanizacyjną nietylko w ten sposób, że namawiają do abonowania pism niemieckich, ale posuwają się bez porównania dalej. Jak wykazały rozprawy w parlamencie niemieckim w r. 1900, żołnierze Polacy przebywający w Niemczech mają surowy nakaz spowiadania się w języku niemieckim. Komenda wojskowa poruczyła sierżantom, aby dopilnowali żołnierzy Polaków — i sierżanci „z wyższego rozkazu“ stali przy konfesyonale i baczyli, aby żołnierz Polak słowa po polsku nie powiedział. A duchowna władza niemiecka odnośnych dyecezyi nie znalazła słowa protestu i dopiero trzeba było interwencyi posłów polskich — a więc ujęcia całej sprawy ze strony ucisku politycznego — aby niesłychanemu temu nadużyciu, krępującemu wolność sumienia, położyć kres — przynajmniej chwilowo.

Władza duchowna niemiecka miała swe powody, dla których się wzbraniała sama zaprotestować przeciw wysyłaniu sierżantów dla kontroli, czy żołnierz spowiada się istotnie po niemiecku: bo księża westfalscy kilkakrotnie publicznie zostali oskarżeni przez Polaków o to, że w razach, gdy są w możności wyspowiadać Polaków z powodu nieznajomości języka polskiego, uciekają się do pośrednictwa tłomaczów, zazwyczaj najbliższych krewnych spowiadającego się — i za ich pośrednictwem wysłuchują grzechów.

Wprawdzie księża niemieccy oskarżani o to przesyłają do pism sprostowania, jednakże twierdzenia Polaków westfalskich są zbyt ścisłe, polegają na wymienieniu nazwisk osób biorących udział w spowiedzi i nazwiska księdza — aby nie miała się kryć pod temi twierdzeniami przynajmniej pewna doza prawdy.

Traktowanie duszpasterstwa nad Polakami przez księży westfalskich ze stanowiska politycznego budzi bardzo naturalną i usprawiedliwioną reakcyę pośród tłumów przybyłych Polaków. Uczą się oni upatrywać w księdzu germanizatorze swego najgorszego wroga i prześladowcę, a — co za tem idzie — uogólniając doznane krzywdy, przenoszą swą urazę z księży na cały kościół jako taki i dziczeją pod względem etycznym. Nie spostrzegając, że sami są przyczyną złego, księża westfalscy stwierdzają niejako z lubością, że wśród Polaków niezmiernie wzrasta procent dzikich małżeństw, co według ich zdania, świadczy o nizkim stopniu kultury Polaków wogóle. Zarówno sam fakt zwiększania się liczby tych małżeństw, jak i te zarzuty, spowodowały Polaków do publicznego roztrząsania tej sprawy na wiecu polskim w Gelsenkirchen d. 2 lutego 1901.

W toku rozpraw przedłożono wiecowi następującą rezolucyę:

„Zebrani Polacy-katolicy na wiecu w Gelsenkirchen dnia 2 lutego r. b. w liczbie około 1000 oświadczają, iż jako wyznawcy Wiary św. katolickiej, uczuwając brak opieki duchownej w ojczystym polskim języku, uczynili wszystko, co było w ich mocy, aby ją otrzymać. Wysyłaliśmy prośby pojedyńczo i zbiorowo do księży proboszczów, do zarządu kościelnego i do ks. Biskupa, ale z bólem serca musimy otwarcie wyznać, iż wszystkie te prośby nie doznały należytego uwzględnienia i dlatego oświadczamy publicznie, iż za wszystkie złe następstwa, które nastąpić mogą dla Polaków z braku opieki w ojczystym, polskim języku, składamy na powyżej wymienione władze wszelką odpowiedzialność przed Bogiem i wszystkimi uczciwymi ludźmi.

Jakkolwiek potępiamy wszystkie wybryki i czyny, które stoją w sprzeczności z Wiarą świętą katolicką i moralnością chrześcijańską, to tem bardziej potępiamy je, jeżeli czynów tych dopuszczają się nasi ziomkowie. Tak zwane dzikie małżeństwa są także po większej części spowodowane brakiem kapłana znającego język polski.

Dlatego protestujemy przeciwko wszystkim zjadliwym wywodom wygłaszanym ze strony niemieckiej, bądź przez osoby świeckie, bądź też przez tutejszych księży katolickich, jakoby Polacy jedynie z własnej winy tworzyli większy procent dzikich małżeństw.

Ubolewamy bardzo, iż ks. proboszcz Maas publicznie potępia Polaków, że dużo z nich w dzikiem małżeństwie żyją, a pomimo to nie postara się o to, aby częściej była sposobność do spowiedzi św. w języku ojczystym i nabożeństwo polskie z kazaniem, któreby błogo wpłynęły na pożycie Polaków. Takie macosze traktowanie Polaków ze strony ks. proboszcza Maas'a uważamy za niesprawiedliwe i nas bardzo krzywdzące.

Zważywszy, iż uszczuplanie nam nabożeństwa w ojczystym naszym języku stoi w połączeniu z wielu innemi środkami, aby nas Polaków skuteczniej można zgermanizować, oświadczamy, iż Wiary naszych Ojców i narodowości naszej do śmierci wiernymi pozostaniemy i dołożymy wszelkich starań, aby te najdroższe skarby nasze to jest Wiarę katolicką i mowę polską nieskazitelną przekazać naszemu potomstwu.“

Rezolucyę tę przyjęto jednogłośnie.

W końcu przedłożono jeszcze rezolucyę mniej więcej tej treści:

„Zebrani na wiecu w Gelsenkirchen w dniu 2-go lutego Polacy-katolicy zapytują uprzejmie wielebnego ks. proboszcza Maas'a, czy w przyszłości raczy się więcej starać o opiekę duchowną w ojczystym języku dla swych polskich parafian? Gdyby to nie miało nastąpić, wtenczas bylibyśmy zmuszeni zaniechać uczęszczania do kościoła parafialnego i odmówić płacenia podatków kościelnych.“

Rezolucya ta również została przyjęta.

Za przykładem powyższego wiecu idą i wiece w innych miejscowościach stawiając kwestyę na jedynym właściwym

gruncie: na gruncie niepłacenia podatków kościelnych.

Duchowieństwo westfalskie, nieczułe wobec argumentów idealnych, dostępne się może dla nich stanie, gdy zacisną się worki polskie i ubędą obfite dochody.

D. K.

Jeszcze niżej —

postąpił sobie p. Jan Brejski z „Gazety Toruńskiej“ w odpowiedzi na nasz artykuł — wobec p. dr. Rakowskiego, szarpiąc ponownie i to w najbrutalniejszy sposób tegoż dobre, niczem nieposzlakowane imię.

By nieobrazić estetycznego poczucia Szanownych Czytelników naszych — wstrzymujemy się z powtórzeniem wyrazów, któremi się p. Brejski przeciwko p. dr. Rakowskiemu w „G. T.“ powtóre posługiwał. — Lecz by dać dowód do jakich środków się p. Jan Brejski ucieka w braku lepszych argumentów — niech nam wolno będzie przytoczyć przynajmniej jeden zarzut podniesiony przez p. Brejskiego przeciwko p. dr. R. P. Brejski nazywa p. dr. R. pomiędzy innemi „*pochwalcą samobójców.*“

Za to więc, że za czasów naczelnej redakcyi p. dr. R., zamieszczono w „Pracy“ kilka słów serdecznego współczucia o zasłużonym literacie śp. Szumskim, który złożony ciężką chorobą, z nędzy i rozpaczy targnął się w chwili duchowego przygnębienia na swoje życie, a więc za kilka słów współczucia nad nieszczęśliwym, — p. Brejski nawet po latach jeszcze obrzuca p. dr. R. mianem „pochwalcy samobójców.“

To więc najsilniejszy a zarazem dla p. Brejskiego już zupełnie wystarczający argument, by na mocy tegoż oświadczyć publicznie i to powtórnie, że p. Dr. Rakowski to człowiek niepewny, dwuznaczny, stojący — może na żołdzie!!!

Oto jaskrawy dowód — koleżeństwa polskiego publicysty...

Panie Janie Brejski, w odpowiedzi na Twe niepohamowane wybuchy osobistej zemsty — powtarzamy raz jeszcze, iż p. Dr. Rakowskiego cenimy nietylko jako wielce uzdolnionego publicystę, ale zarazem jako człowieka bez zarzutu, jako człowieka czystego charakteru jak łza i jako gorącego patryotę, który całą duszą jest oddany najświętszej sprawie naszej. To też, p. Janie Brejski, pióro Twej miary — nie zdoła obniżyć w niczem osoby p. Dr. Rakowskiego, którego, podnosząc tu raz jeszcze, z dumą słuszną zaliczamy do naszych najlepszych i najsumienniejszych współpracowników.

Na tem ograniczamy na razie naszą odpowiedź, pozostawiając już teraz p. Rakowskiemu dowolny użytek łamów w „Pracy“ w osobistej swej obronie przed publiczną napaścią p. Brejskiego.

Redakcya „Pracy.“

By Szanownym Czytelnikom dać pogląd na to, jak też inne pisma zapatrują się na — niepolskie postępowanie p. Jana Brejskiego przeciwko p. dr. Rakowskiemu — przytaczamy tu bezstronny głos „*Gońca Wielkopolskiego*“, który w tej sprawie pod dniem 13-go b. m. pisze co następuje:

„Gazeta Toruńska“ a pan dr. Rakowski.

Już dosyć dawno temu p. dr. Rakowski, były redaktor „Pracy“, wydalony przed niespełna 2 laty z Prus i przebywający od tego czasu we Lwowie, zabrał się do zbierania statystycznych danych o towarzystwach polskich w Niemczech, ażeby na tej podstawie wydać poglądową o nich broszurę. Dziełko p. dr. R., miało być niejako odpowiedzią na hakatystyczny, wydany nakładem „Wszechniemieckiego związku“ elaborat, zionący nienawiścią do polskich towarzystw.

Pan dr. R. przygotował do materyału statystycznego odpowiedni kwestyonaryusz i rozesłał go do pism polskich, ażeby za ich pośrednictwem trafić wprost do towarzystw i zebrać właściwy materyał.

Zaczepiła to „Gazeta Toruńska“ w sposób, naszem zdaniem, bardzo uwłaczający p. dr. Rakowskiemu, a sprawie publicznej pożytku nie przynoszący. „Nie możemy zachęcić do udzielania informacyi“ — tak się wyraziła „Gaz. Toruńska“ — „ponieważ towarzystwa nasze nie należą jeszcze do historyi, gdyż żyją i rozwijają się, ponieważ nadto ów pan nie daje rękojmi, że zrozumie położenie naszego wychodźtwa i że informacye wyzyskają chyba przeciwnicy na szkodę towarzystw.“

Nie pojmujemy doprawdy takich produktów „skrupulatności“. Czy statystykę zbierać się u nas powinno tylko o umarłych, czy cyfrowe zestawienia i ściśle na nich oparty pogląd, dany przez człowieka nieposzlakowanego, dobrego i inteligentnego Polaka mógłby istotnie zachwiać bytem naszych stowarzyszeń, zagrozić ich rozwojowi lub też wyrządzić im szkody poważne? Czy „Gazeta Toruńska“ doprawdy myślała, że rząd pruski i hakatyzm czyha dopiero na statystykę towarzystw polskich, ażeby przeciwko nim walną urządzić wyprawę? Jeśli słuszna taka trwoga przed policzaniem sił naszych i rejestrowaniem naszych usiłowań, to może było lepiej przy spisie ludności udawać, że nas już wogóle niema!?

„Praca“ wystąpiła też w obronie dawniejszego swego redaktora i dotąd jeszcze współpracownika i w ostry sposób napiętnowała to zaiste dziwne ostrzeżeżenie przed dr. Rakowskim, skierowane do naszych towarzystw. W odpowiedzi na to „Gazeta Toruńska“ w bardzo niestosowny sposób rusza w pole przeciwko zaczepionemu i w równie rubaszny jak złośliwy sposób odzywa się już nie o przedmiocie statystycznym, ale o osobie p. dr. Rakowskiego, o jego talencie i kwalifikacyach piśmienniczych. Dzieje się to w chwili, gdy właśnie zaczepiony niesłusznie literat zdobywa sobie dzięki swej pracy i swym zdolnościom i utworom, coraz więcej uznania i poważania w kierowniczych kołach literackich we Lwowie.

Gdyby p. dr. Rakowski miał istotnie tylko tyle wartości, ile mu przypisuje p. Jan Brejski w „Gazecie Toruńskiej“, to z pewnością jeszcze dziś siedziałby sobie spokojnie w Poznaniu bez obawy, że go władze pruskie wydalą. Ale musi być snadź coś więcej w nim, a tego „czegoś“ napaść „Gazety Toruńskiej“ obniżyć nie zdoła.

Artykuł przeciwko p. doktorowi Rakowskiemu, skierowany a podpisany przez p. Jana Brejskiego, nosi tytuł: „W interesie sprawy publicznej.“ Nam się zdaje, iż rzadko tytuł z treścią artykułu w tak rażącym był rozdźwięku!

Zamieszczając tych kilka uwag o dziwnem traktowaniu przez „Gazetę Toruńską“ literata inteligentnego, zdolnego i bardzo pracowitego, nadmieniamy, że redakcyi naszej z pokrzywdzonym nie łączą, oprócz znajomości żadne stosunki, że więc zarzut stronniczości byłby czczym i bezpodstawnym.

Dr. Dyonizy Karchowski.

KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

Zasiedli. Piédouche kazał podać ciastek dziewczynce i butelkę koniaku dla siebie i swego towarzysza.

Cambremer pozbył się już nieufności, którą był przejęty w pierwszej chwili i powiadał sobie, że ze względu na swoją córeczkę ma obowiązek wysłuchać rad tego nieznajomego.

— Więc powiadacie pytał przy kieliszku — że ten Vinet napędził wam spadek? Jak myślicie, czy onby mi dopomógł w tej sprawie.

— Jestem pewny, i jeżeli chcecie, to was do niego zaprowadzę. Mieszka przy ulicy Roquette, tuż obok placu gilotyny i przyjmuje codziennie pomiędzy ósmą a dziewiątą.

— Chciałbym doprawdy go zobaczyć. Nie nabijam sobie głowy sukcesyą, chwilami nawet myślę, że Tolbiac ze mnie zadrwił, ale nie należy pomijać sposobności wzbogacenia małej.

— Zresztą nie będzie to was nic kosztowało. Ojcu Vinet płaci się tylko w razie otrzymania spadku. Kiedy chcecie pójść do niego?

— Mam i dzisiaj wieczór wolny, ale chcę pójść do mechanika, który ma córeczkę w wieku mojej... niech się dzieci pobawią... A więc we czwartek...

— I owszem. Będę na was czekał punkt o ósmej na placu Chateau d'Eau i zaprowadzę do Vineta.

— Przyjdę z papierami. Jest tego cały stos: metryki, akty zejścia, intercyzy, a nawet jakieś drzewo z nazwiskami O'Sullivanów na gałęziach. Szczęściem, że matka Pauliny zachowała to wszystko. Moje żonisko nie zaglądało nigdy do tych papierów.

— Zobaczycie, jak ten Vinet wszystko wam wyłoży... muszą tam być nazwiska angielskie.

— Są angielskie, są i francuskie... I tak naprzykład: zapamiętałem, że jakiś p. Lecomte pochodzi także od O'Sullivanów!

— Lecomte! — powtórzył Piédouche i zamyślił się.

— Czy go znacie, tego Lecomte? — spytał Cambremer.

— Znam ich z dziesięciu... kupca korzennego z ulicy Temple, stolarza z przedmieścia Saint-Antoine...

— Ten, którego matka z domu O'Sullivanòw, był agentem giełdowym, stoi to w jego metryce ślubnej.

— Czy nie pamiętacie kiedy się ożenił?

— Zdaje mi się, że w r. 1855-ym.

— A więc dwadzieścia lat temu — kombinował Piédouche. — Narzeczona pana Ludwika ma lat dziewiętnaście i nazywa się Teresa Lecomte. Toby było dziwne... Muszę o tem wspomnieć ojcu Lecoq. A głośno dodał:

— Przypominam sobie właśnie. Znałem pewnego Lecomte, bankiera, czy też giełdziarza, to na jedno wynosi. Zanim zostałem tragarzem kolejowym, byłem ślusarzem. Ja mu właśnie wprawiałem wszystkie zamki do pałacyku, który sobie wybudował w Boulogne, nad samą Sekwaną, naprzeciw Sain-Cloud. On już umarł, ale żona i córka mieszkają do dziś dnia w tym pałacyku. Jabym na waszem miejscu poszedł do nich.

— Po co?

— Żeby się zapytać, czy matka nieboszczyka Lecomte nie była z domu O'Sullivan.

— Nie śmiałbym iść, nie będąc pewnym. Zresztą nie dostałbym się do tych pań. Wdowa po bankierze nie zadaje się z prostym robotnikiem. Służba wyrzuciłaby mnie za drzwi.

— Jak powiecie, że macie wiadomości o sukcesyi, to was przyjmie na pewno. Najbogatszy nawet nie gardzi spadkiem. Ja wam radzę iść. Każdy wam wskaże ten dom...

— To tak daleko, a ja niemam czasu.

— Ha! Możecie się uwolnić na kilka godzin wieczorem.

— Ha! dla dobra Marty...

— A nie zapominajcie wziąć papierów. Jakie to szczęście, żeście je znaleźli.

— Leżały w głębi starej skrzyni i nie byłbym do nich zaglądał, gdyby nie te odwiedziny p. Tolbiaca. Ciekawy też jestem, dlaczego on mnie odszukał.

— Ja myślę, że i on wynajduje sukcesorów, jak Vinet, z tą tylko różnicą, że ich okrada.

— A to jakim sposobem? Nikt nie odbierze spadku, kto nie wykaże swoich praw do niego.

— Tak, ale przypuśćmy, że kilka osób ma prawo do sukcesyi i że jeden zgładzi pozostałych.

— Jakto? Zabije ich?

— Ba! ludzie popełniają morderstwa dla mniejszych pieniędzy. Ja na waszem miejscu, strzegłbym małej, jak oka w głowie.

— Już raz dybano na jej życie. To cud, że jej lokomotywa nie przejechała tego dnia, w którym Tolbiac do mnie przyszedł. Ręczę, że on umyślnie rozsiał złoto po szynach.

— Prawda, to mi na myśl nie przyszło! — zawołał Piédouche, obiecując sobie skorzystać z myśli podanej mu przez Cambremera... — Ale gdzież jest Marta? Nie widzę jej.

Ojciec zerwał się na równe nogi. Marty pod kasztanami nie było. Za chwilę jednak ukazała się od strony bulwaru de l'Hopital. Wodziła dokoła oczyma, szukała ojca; ujrzawszy go, podbiegła z wyciągniętemi rękoma.

Cambremer chwycił ją w objęcia.

— Jakże ja się przestraszyłem! — wołał. — Gdzieżeś odeszła?

Dziewczątko tuliło się do niego, klaszcząc w ręce.

— Wiedziałam, wiedziałam, że tatuś jeszcze nie wyszedł z kawiarni: A ta stara kobieta mówiła, że tatuś czeka na mnie w domu.

— Stara kobieta! — zawołał głosem zdławionym.

— Tak, stara, brzydka, okropna... chwyciła mnie za rękę... ale ją ugryzłam... i uciekłam.

— Ach! łotrzyca! — zawołał Cambremer. — Ja ją przyłapię.

— Kolego, ostrzegam was — rzekł Piédouche. — To, co się zdarzyło, dowodzi tylko, że Marta ma istotnie prawo do spadku po O'Sullivanie; inaczej nie próbowanoby jej zgładzić. Musicie przyjść do ojca Vinet, nie poźniej jak we Czwartek.

Uścisnął rękę zwrotniczego, ucałował dziewczynkę i odszedł krokiem przyśpieszonym, bo już mu było pilno do Grand-Hôtelu.

ROŻDZIAŁ III.

Kilka dni upłynęło od bezskutecznej pogoni Piédouche'a za Tolbiacem i od układu, zawartego z małżonkami Galoupiat.

Eks-numer 29 widywał ich codziennie w „Ogniu wiecznym," ale węglarze, pomimo wszelkich usiłowań, nie zdołali odnaleźć panny służącej Angielki. Cambremer nie dawał także znaku życia.

Piédouche wiedział dobrze, co robi, wyznaczając mu spotkanie na placu Chateau d'Eau i pokładał wielkie nadzieje w konsultacyi przy ul. Roquette.

Rzekomy nabab, za przybyciem swem z Londynu, najął tam skromne mieszkanko, przewidując, że będzie musiał nieraz występować w innych rolach. Obecnie jako ojciec Vinet mógł tam udzielić rady Cambremerowi.

Wyjeżdżał z hotelu pod postacią nababa i przebierał się po drodze. Piédouche miał znajomego właściciela remizy, który zobowiązał się oddać do rozporządzenia księcia indyjskiego wspaniały ekwipaż i dyskretnego stangreta.

Ilekroć ojciec Lecoq przywdziewał nową skórę, lando służyło mu za gotowalnię.

Rzekomy nabab oczekiwał odwiedzin Cambremera z niecierpliwością tem żywszą, że przechadzki Owerniaków po Polach Elizejskich i po Lasku Bulońskim były dotychczas bezowocne.

Sprawa z Holtzem wlokła się też powoli. Ów agent nie przynosił żadnych wiadomości stanowczych. Powiadał, że jest na tropie pobocznych sukcesorów majora, i obiecywał, że niebawem zbierze informacye dokładne.

Stary Lecoq, chcąc poznać bliżej zamiary rzekomego Holtza, bywał często w gościnnym domu pani Disney. Kilka razy nawet złożył wizytę jej przyjaciółce, pięknej Herminii. Twierdziła ona, że zna wszystkie sekrety Arabeli, lecz nabab, pomimo zręcznych wypytywań, zdołał się dowiedzieć tyle

tylko, że pani Disney nie zawsze królowała w salonach, kapiących od złota i że pochodzenie Tolbiaca nie było arystokratyczne, a przydomek de Tinchebray nie znajdował się w żadnym herbarzu.

Tymczasem Cambremer żył w ciągłym niepokoju o swoją córeczkę. W dniu jego rozmowy z Piédouchem jakaś nieznana kobieta chciała uprowadzić Martę. Następnego dnia, dziewczynka, wracając ze szkoły, spostrzegła, że śledzi ją jakiś człowiek w bluzie. Nie odezwał się do niej, ale patrzał na nią takiemi strasznemi oczyma, że Marta przelękła się i zaczęła uciekać.

Ównieznajomy nie gonił jej wprawdzie, lecz szedł za nią aż do mieszkania jej ojca, dużego domu przy bulwarze l'Hopital, zajmowanego głównie przez robotników.

Dziecko opowiedziało ojcu tę przygodę. Będąc sam zajęty całemi dniami, prosił zakonnice, do których Marta chodziła na naukę, aby nie pozwalały jej wracać samej.

Cambremer mieszkał na parterze, w głębi podwórza, obok praczki, dobrej kobieciny. Podczas nieobecności ojca, czuwała nad małą.

Cambremer był w ciągłej obawie o swoją córeczkę i bał się wychodzić z domu wieczorami. Jednak, dla dobra dziecka, postanowił udać się do Boulogne.

We środę, to jest w przeddzień, wyznaczony na konsultacyę z Ojcem Vinet, ułożył do snu Martę, oddał ją pod opiekę sąsiadki i wyruszył na poszukiwanie pań Lecomte.

Była siódma, obliczał, że będzie z powrotem o dziesiątej.

Wieczór był śliczny. Teresa siedziała z matką w salonie, z oknami wychodzącemi na rzekę. Obie pogrążone były w zadumie.

— Pamiętasz, mamo, — odezwała się Teresa — pamiętasz, ile to godzin strawiłyśmy, wyglądając go nadaremnie przez te okna w dniu, w którym go nam zabrano? Od owej chwili nie zaznałam spokoju.

— A jednak nie chcesz odjechać, wyrwać się z tych wspomnień. Czyż nie rozumiesz, że już wszystko stracone?

— Wiesz matko, że przysięgłam sobie pozostać tu aż do chwili, gdy już nie będzie można niczego się spodziewać?

— I czegóż ty się jeszcze spodziewasz?

— Wierzę, że jego niewinność wyjdzie na jaw.

— Jego niewinność! Rodzony ojciec w nią zwątpił, zaniechał już myśli ocalenia tego nieszczęśliwego.

— Nie! — zawołała Teresa — on nie zwątpił, tylko się ukrył, by módz przeciwdziałać tej strasznej intrydze.

Nie wspomniała o bileciku, wręczonym jej u wyjścia z sali sądowej.

Matka, rozumiejąc, że jej nie przekona, urwała rozmowę.

— Idę do swego pokoju — rzekła; — będę się modliła, żeby ci Bóg sił dodał w tej ciężkiej próbie.

Pozostawszy samą, Teresa wyszła na balkon i błądziła okiem po starych drzewach Saint-Cloud, pod któremi zamieniła tyle przysiąg z Ludwikiem.

Nagle do jej uszu doleciał szmer głosów. Ujrzała przy furcie ogrodu starego służącego, Antoniego. Rozmawiał z jakimś mężczyzną, wyglądającym na wystrojonego odświętnie robotnika.

Wreszcie Antoni zamknął furtkę, stosując się do rozkazu niewpuszczania nikogo. Nieznajomy odszedł.

Dziwne przeczucie tknęło Teresę; pomyślała, że ten człowiek przychodzi może w sprawie jej narzeczonego, że chce się z nią rozmówić osobiście. Wybiegła, aby przyzwać Antoniego. Nie było go w przedpokoju, zeszła do ogrodu, ale ogrodnik powiedział jej, że stary służący poszedł do Saint-Cloud, aby wrzucić list na pocztę.

Teresa postanowiła czekać na jego powrót w ogrodzie.

Pogrążona w myślach i wspomnieniach, błądziła po cienistych alejach; wreszcie machinalnie minęła boczną furtkę, prowadzącą na pole.

Willa pań Lecomte stała nad Sekwaną; przed gankiem było kwieciste podwórze, po obu jego stronach ogród starannie utrzymany; za tym ogrodem roztaczał się las gęsty, należący do willi i otoczony żelaznem okratowaniem.

Z zewnątrz ścieżka od tego lasu prowadziła do hipodromu w Longchamps.

Była to miejscowość pusta.

Panna Lecomte zagłębiła się w aleję, wiodącą dokoła parku. Kroczyła zadumana z oczyma spuszczonemi, nie uważając, że mrok już zapada. Nagle szelest obudził ją z zamyślenia.

Ktoś szedł od strony zewnętrznej okratowania. Stanęła i zobaczyła człowieka, zaglądającego po przez pręty żelazne.

Przyspieszyła kroku i doszła do ławki, pod starym dębem, naprzeciw jednej z furtek ogrodowych. Usiadła i nagle przyszedł jej na myśl człowiek, odprawiony przez Antoniego.

— Może go przysyła ojciec Ludwika, — rzekła sobie.

Wtem u nóg jej padł kamień owinięty w papier. Na papierze wypisane były słowa:

„Jeżeli pani chce mieć wiadomości o Ludwiku, to proszę wyjść. Czekają na panią przy drodze.“

W jednej chwili znalazła się za furtką, pewna, że słowa te nakreślił człowiek, odprawiony przez Antoniego.

Szła krokiem przyspieszonym, tymczasem zrobiło się już zupełnie ciemno. Wreszcie pod okratowaniem, od strony zewnętrznej, ujrzała dwoje ludzi, którzy ukrywali się, jakby w cieniu. Jeden z nich wystąpił naprzód, zbliżył się do niej i szepnął:

— Jego ojciec chce się z panią rozmówić.

— Jego ojciec! — podchwyciła Teresa. — Wiedziałam, że on go nie opuścił. Gdzież jest?

— O kilka kroków ztąd, w powozie, stojącym przy drodze. Nie śmie się pokazać, bo go policya śledzi. Przyjechał, aby panią zapytać o rzecz bardzo ważną.

— Niech mnie pan do niego prowadzi — rzekła Teresa bez obawy.

Szedł z nią wzdłuż okratowania i minął towarzysza, stojącego, jak słup, nieruchomo.

Nagle Teresa uczuła, że ją ktoś chwyta oburącz.

W tejże chwili człowiek, idący obok niej, przyłożył jej chustkę do ust.

Głosem zdławionym, zdołała krzyknąć:

— Ratunku! Ratunku!

Niesiono ją do powozu, który stał o kilka kroków przy rzece.

Jednak rozpaczliwy okrzyk Teresy został usłyszany.

Człowiek, stojący przy kracie — ten sam, którego widziała niedawno, wynurzył się z cienia i wpadł na napastników z kijem podniesionym.

Nie spodziewali się tej napaści.

Ten, który trzymał wpół Teresę, dostał pałką po głowie i runął na ziemię. Drugi, uderzony silnie po ramieniu, wypuścił swą zdobycz i uciekł, nie troszcząc się o towarzysza, który pozostał na trawie. Po chwili rozległ się turkot powozu, odjeżdżającego w stronę Paryża.

Wybawca Teresy odkneblował jej usta i chciał ją odnieść do domu, lecz spostrzegł, że nie zemdlała i że może iść o własnych siłach.

Odzyskała nawet głos.

— Dziękuję panu — szepnęła. — Proszę mnie nie opuszczać, furtka do ogrodu otwarta...

— Niech się pani na mnie oprze.

Znalazłszy się po za furtką, nieznajomy zamknął ją i klucz schował do kieszeni, bojąc się, by go nie wydobyto przez kraty.

Pomimo wrodzonej odwagi, Teresa była bardzo wzburzona. Osunęła się na tę samą ławkę, na której siedziała, gdy jej rzucono słów kilka fałszywej przynęty.

Nieznajomy stał przed nią, czekając aż się odezwie.

Panna Lecomte nie mogła widzieć jego twarzy, bo już było ciemno, ale wzrost i ogólny zarys postaci przypominał jej człowieka, którego Antoni odprawił, więc spytała:

— Wszak pana widziałam z okna przed pół godziną? Rozmawiałeś pan z naszym służącym.

— Tak i panią dostrzegłem... a po chwili idąc wzdłuż okratowania zobaczyłem panią w alei...

— Wyszłam, żeby powiedzieć naszemu staremu słudze, że ma pana przyjąć... Pan zapewne chciał się rozmówić z moją matką?

— Mam interes do pani Lecomte, wdowy po paryskim bankierze.

— To właśnie jej dom. Ja jestem jej córką. Proszę iść za mną.

— Odprowadzę panią i przyjdę innym razem, bo dziś pani jest zanadto wzburzona.

— Nie, pan pewno ma interes ważny. Po co go odkładać? O! potrafię iść o własnych siłach — rzekła powstając.

— Nie puszczę pani samej. Napastnicy czyhają, może znowu gotowi strzelić do pani z drogi. To jacyś źli ludzie.

Teresa szła obok swego wybawcy, bardziej wzruszona. Pewna była, że wrogowie Ludwika tę urządzili zasadzkę,

a z drugiej strony miała przeczucie, że wybawca przybywa z polecenia starego Lecoqa. Zastanowiła się, jak go zagadnąć w tej mierze.

On myślał tylko o skutkach napaści i po chwili rzekł:

— Zdaje mi się, że należałoby posłać natychmiast którego ze służących, żeby podniósł opryszka, leżącego na drodze. Mam nadzieję, żem go nie zabił, a jeśli jest rannym, to potrzebuje opatrunku.

— Życie panu zawdzięczam, — zaczęła Teresa głosem wzruszonym — a chciałabym jeszcze o coś prosić... Niech pan nie wspomina o tem co zaszło nikomu, nawet mojej matce.

— A jeśli ten człowiek padł martwy?

— Nie miałbyś pan sobie nic do wyrzucenia, bo uderzyłeś go w mojej obronie. Gdyby pana oskarżono jabym świadczyła za panem. Ale pewna jestem, że owymi napastnikami są ci sami ludzie, którzy przyczynili się do zguby Ludwika.

— Ludwika? — powtórzył nieznajomy ze zdziwieniem.

— Tak, jego ojciec musiał panu wszystko opowiedzieć... bo ręczę, że to on pana tu przysyła.

— Nie rozumiem.. nie wiem o co pani chodzi...

— Jakto! więc pan nie w jego imieniu przybywasz?...

W chwili tej na końcu ścieżki zamigotało światło latarni.

Pani Lecomte, zaniepokojona nieobecnością Teresy wyszła, aby ją szukać, towarzyszył jej wierny Antoni.

— Widzę, żem się omyliła, ale błagam pana nie mów o tej przygodzie i nie przecz temu, co opowiem — szepnęła Teresa do swego wybawcy, a zbliżywszy się do matki, rzekła:

— Zaniepokoiłam, cię, mateczko, ale widzisz, że nic mi nie jest. Przyprowadzam ci tego pana. Ma ważny do ciebie interes.

Pani Lecomte, widząc córkę w tak niestosownem towarzystwie, spoglądała to na nieznajomego, to na nią. Służący oczom nie wierzył, że ma przed sobą człowieka odprawionego od furtki.

— To wina Antoniego — rzekła Teresa. — Nie chciał przyjąć tego pana, ja zaś chodziłam po ogrodzie, więc zobaczywszy mnie, odezwał się do mnie przez kratę. Otworzyłam mu furtkę, i oto jesteśmy. Chodźmy teraz do salonu.

To objaśnienie i ta propozycya nie podobały się pani Lecomte, ale uznała za stosowne nie sprzeciwiać się Teresie.

— Proszę pana — rzekła, idąc z córką naprzód.

Wszedłszy do salonu, skinęła na nieznajomego, aby usiadł i spytała chłodno:

— Z kimże mam zaszczyt?..

— Moje nazwisko jest pani nieznanem — rzekł wybawca Teresy. — Zdziwi panią moja śmiałość, gdy powiem, że jestem robotnikiem. Nazywam się Piotr Cambremer, służę, jako zwrotniczy na kolei Orleańskiej.

— Zechciej pan się wytłómaczyć, co pana tutaj sprowadza.

Cambremer nie wiedział od czego zacząć, był bardzo zmieszany. Wreszcie postanowił przystąpić wprost do rzeczy.

— Proszę pani! — rzekł — przychodzę dowiedzieć się, jak się nazywała z domu matka nieboszczyka jej męża.

— To chyba żarty! — zawołała pani Lecomte oburzona.

Zwrotniczy zrozumiał, że wziął się do rzeczy niezręcznie i rzekł:

— Słowo pani daję, że chodzi o bardzo ważną sprawę... Nie przez ciekawość chciałbym wiedzieć, czy świekra pani była z domu O'Sullivan?

Na twarzy pani Lecomte odmalowało się zdziwienie.

— A choćby tak było, cóżto pana obchodzi? — rzekła wyniośle.

— Zaraz to pani wytłómaczę — mówił Cambremer, odzyskując pewność siebie. — Przed kilku laty ożeniłem się, ale mi żona umarła, pozostawiając sześcioletnią córeczkę, która jest moją pociechą jedyną. Moja żona była wyrobnicą, jej matka także, ale babka pochodziła ze starej rodziny irlandzkiej i nazywała się O'Sullivan.

— Jest dużo O'Sullivanów w Irlandyi — przerwała pani Lecomte.

— Tak mi mówiono i nie troszczyłbym się o pokrewieństwa mojej żony, gdyby nie chodziło o dobro dziecka. Przed kilku dniami w papierach pozostałych po nieboszczce, znalazłem spis wszystkich osób, należących do rodziny... i wyczytałem, że ciotka mojej teściowej, z domu O'Sullivan, w roku 1809 poślubiła p. Józefa Lecomte, podówczas agenta giełdowego.

— Mój dziadek nazywał się Józef i żeniąc się był agentem! — zawołała Teresa. — Ojciec nieraz o tem wspominał.

— Babka mojej żony miała na imię Elżbieta; imię jej babki ciotecznej, późniejszej pani Lecomte, było Georginia.

— Takie też było imię mojej babki — podchwyciła znowu Teresa.

Pani Lecomte nie była tak pochopną do przyznania pokrewieństwa, obawiała się bowiem, że ten nieznajomy chce je wyzyskać.

— Zatem moja Marta jest kuzynką pani — rzekł Cambremer do Teresy, a widząc, że jej matka chmurzy się dodał: — O, może być pani spokojna, nie mam pretensyi, żeby ją pani uznała za krewniaczkę. Wiem, że ona co innego, a panie co innego, i że nie może bywać w takim domu bogatym. Nie przychodzę też z prośbą o wsparcie. Zarabiam, dzięki Bogu, na życie i nie potrzebuję niczyjej pomocy ani łaski.

— Zechciej więc pan wytłómaczyć, czego się pan po mnie spodziewa — spytała wdowa, udobruchana tem oświadczeniem.

— Niczego, proszę pani — odparł — pragnąłem tylko dowiedzieć się, jak się nazywała z domu pani świekra, bo jest ogromny spadek po O'Sullivanie i ma do niego prawo moja córka, a także i córka pani. Nic jeszcze pewnego, ale gdybym się o czem dowiedział, to uwiadomię panią.

Pani Lecomte, ujęta bezinteresownością nieznajomego, rzekła uprzejmie:

— Daruje pan, że nie odpowiadałam wpierw na pytania, ale zamiary pańskie nie były mi jeszcze wiadome, a bywam zwykle ostrożną; teraz jednak. gdy wiem z kim mam do czynienia, mogę pana objaśnić, że mój mąż był istotnie synem Georginii O'Sullivan, która umarła w trzy lata po ślubie, nie znał wcale jej rodziny, wiedział tylko, że p. O'Sullivan, córka drobnego dzierżawcy irlandzkiego, przybyła do Francyi bardzo młodo, że miała brata i trzy siostry. Całe rodzeństwo rozproszyło się po śmierci ojca, jak to bywa w Irlandyi, skutkiem smutnych warunków pieniężnych. Mąż mój kilkakrotnie dowiadywał się o rodzinę swej matki, ale bezskutecznie. Pan musi mieć dowody stwierdzające to pokrewieństwo?

— Mam wykaz dat i miejsc urodzeń i ślubów, więc będzie łatwo dostać metryki.

— Proszę mi wierzyć — wtrąciła pani Lecomte — że nie powstydzimy się pokrewieństwa, jeżeli tylko będzie udowodnionem.

— Pan nam przyprowadzi swoją córeczkę — rzekła Teresa, ogarniając swego wybawcę wdzięcznem spojrzeniem.

— Boję się tylko — przerwała jej matka — że co do tej sukcesyi, to się pan zawiedzie. Rodzina O'Sullivanów była bardzo uboga.

— Wiem. To też na myśl mi nie przychodziło, aby moja córka mogła otrzymać spadek, ale ubiegłej zimy zjawił się u mnie jakiś pan i mówił, że moja Marta ma prawo do ogromnego spadku.

— Nie chciałem z nim gadać, odszedł... i nie pokazał się już więcej... Byłbym o nim zapomniał, gdyby nie to, że z jego winy o mało co pociąg nie przejechał mojej małej. Ale przed kilku dniami na dnie kufra znalazłem plikę papierów, z których widzę, że ten nieznajomy wiedział co mówi, i że te jego odwiedziny miały cel poważny. Otóż ktoś mi poradził udać się do agenta zajmującego się wyszukiwaniem spadków.

— To dziwne — szepnęła Teresa. — Zgłaszał się do pana nieznajomy; było to w zimie... Czy pan nie pamięta, którego dnia?

— Nie umiałbym powiedzieć — rzekł Cambremer — ale pewny jestem, że w dwa, albo trzy dni po wypadku bardzo głośnym w mojej dzielnicy... po zbrodni przy ulicy Arbalète.

Cambremer spostrzegł, że Teresa blednie. Pani Lecomte zakryła twarz chustką. Biedak zmieszał się, nie pojmując, czem je tak wzruszył i nie wiedząc, jak swój błąd naprawić, chciał już odchodzić, gdy nagle panienka spytała:

— Jak wyglądał ten człowiek?

— Nic w nim nie było osobliwego... Mógł mieć lat czterdzieści do pięćdziesięciu.. Twarz, jak twarz; tylko oczy jakieś dziwne... unikające ludzkiego spojrzenia.

— To on! — zawołała Teresa. — Pamiętasz, mamo, w styczniu zgłaszał się do ciebie jakiś jegomość, nie chciał wymienić swego nazwiska Antoniemu; prosiłaś Ludwika, żeby się z nim rozmówił.

— Istotnie przypominam sobie.

— Otóż Ludwik nic się od niego nie dowiedział... Powrócił wzburzony i mówił, że ów człowiek tak się zachowywał, jak gdyby miał złe zamiary, i także w oczy nie patrzał. jak tamten.

— Jakiż może być związek pomiędzy temi odwiedzinami? — rzekła pani Lecomte.

Teresa umilkła, uczuła, że jej matka nie zrozumie i postanowiła zachować swe domysły dla siebie. Pewna była, że wrogowie Ludwika uknuli cały spisek i że ona przed chwilą omal nie padła ofiarą.

— Ten nieznajomy już się więcej nie pojawił — ciągnął dalej Cambremer — ale przypadkowo dowiedziałem się o jego nazwisku i adresie.

— Jakże się nazywa? — spytała żywo panna Lecomte.

— Tolbiac de Tinchebray. Mieszka przy ul. Godot de Mauray.

— Zapamiętam to sobie — szepnęła panienka.

Zwrotniczy wstał i żegnał się, przepraszając za swoją natarczywość.

— Chciałbym jeszcze o coś zapytać — rzekł od progu — czy mnie pani upoważnia powiedzieć temu agentowi, wyszukującemu sukcesye, że córka pani pochodzi z O'Sullivanów.

— Nie tylko pana upoważniam, ale bardzo o to proszę i będę panu obowiązana, jeżeli mi doniesiesz o skutku swoich narad.

— Nie omieszkam. Mam się z nim zobaczyć jutro wieczorem.

— A pojutrze oczekuję pana z moją kuzynką — rzekła Teresa, podając mu rękę, którą zaledwie śmiał dotknąć.

— Cambremer wyszedłszy z willi, podążył na miejsce, gdzie zostawił poturbowanego napastnika, ale go już tam nie znalazł.

A zatem z dwojga jedno: albo ten nędznik, ocknąwszy się z omdlenia, wstał i uciekł, albo jego wspólnik zawrócił się z drogi i podjął go.

W obu wypadkach nie było obawy, aby ci zbirowie wnieśli skargę na Cambramera. O to mógł być spokojny.

Podążył więc do domu, a było mu tak pilno, tak się czuł niespokojny, że przeprawiwszy się na drugą stronę Sekwany, zamiast czekać na omnibus, wsiadł do dorożki.

Gdy zatrzymała się wreszcie, przez otwartą bramę dojrzał światło w oficynie, którą zamieszkiwał.

— Praczki mają dziś dużo roboty. — Tem lepiej: Marta bezpieczna — pomyślał, płacąc dorożkarzowi.

Istotnie, u matki Sorbier słychać było gwar głosów. Na turkot dorożki, z pralni wybiegły dwie dziewczyny, a zobaczywszy go, krzyknęły przerażone, jak gdyby ujrzały upiora.

Zdziwiony takiem powitaniem, szedł dalej. Na progu mieszkania praczki stało liczne zbiorowisko niewieście. I tutaj widok jego wywołał zdumienie, czy też przestrach.

Kumoszki podniosły wrzawę, a że krzyczały wszystkie razem, więc niepodobna było ich zrozumieć. Wreszcie matka Sorbier przyskoczyła do niego, wołając:

— Cóż to znowu za żarty?

— Jakie żarty? — pytał Cambremer oszołomiony.

— Teraz będzie udawał niewiniątko. Tego już za wiele... Wstydziłbyś się pan... tak przestraszać dziecko... O mało co nie umarła.

— Marta... — zawołał blednąc jak trup. — Mówicie o Marcie... Co się stało?...

— Co! jeszcze pyta? Przecie sam pan przysłałeś po nią.

— Ja!?

— Tak, i to jakąś lafiryndę... a ja, głupia, uwierzyłam, co mi prawiła, że jest żoną mera z Choisy i opiekunką w Towarzystwie dobroczynności... Niech mi się już ona nie pokazuje na oczy... bo będzie z nią źle...

Cambremer zaczynał pojmować, i nogi się pod nim uginały, bał się pytać matki Sorbier. Wreszcie chwycił ją za ręce i zawołał głosem zdławionym:

— Co się stało? — Mów pani. Widzisz, że jestem nawpół żywy ze strachu.

— To... się stało — zaczęła, biorąc się pod boki — to się stało, że w godzinę po pańskiem odejściu... mała już spała... przed bramą zatrzymuje się powóz... Wysiada pani wystrojona, wpada na podwórze jak kula i pyta mnie; „Czy tutaj mieszka robotnik z kolei Orleańskiej, Piotr Cambremer?“ Ja jej naturalnie odpowiadam, że tak. A ona: „Czy jest jego córka?“ Powiadam jej: „Jest; a pani co do tego?“ Trzeba było słyszeć, jak mi zaczęła prawić, że zajmuje się dobremi uczynkami i że ja niegrzecznie się do niej odzywam...

— Ale koniec końców, czego chciała od małej?

— Chciała ją zabrać... Mówiła, że panu kolej przejechała nogę na dworcu Choisy le Roi, że niepodobna przewieść pana do Paryża, że chciałeś pan zobaczyć córkę przed śmiercią, więc ulitowała się, kazała zaprządz konie i przyjechała po dziecko.

— I pani jej oddała dziecko? — wrzasnął Cambremer.

— Każdyby to zrobił na mojem miejscu. Czy ja mogłabym przypuszczać, że taka dama wykradnie dziecko?

— Więc ją wykradła! Zabije! Nigdy już nie zobaczę mojej Marty! — zawołał nieszczęśliwy ojciec, biegnąc do pokoju dziecka.

— Drzwi były otwarte. Łóżeczko puste. Na podłodze porozrzucane były zabawki.

Cambremer padł na krzesło, chwycił się za głowę i gorzkiemi łzami zapłakał.

Widok jego rozpaczy zmienił odrazu usposobienie praczek. Wszystkie zaczęły złorzeczyć niegodziwej.

Matka Sorbier czyniła sobie gorzkie wyrzuty; nagle pobiegła do Cambremera i wycałowała go w oba policzki, choć się bronił.

— To ja jestem winna wszystkiemu! — wołała. — Trzeba było mieć głowę na karku, nie wierzyć tej łotrzycy. Możesz mnie pan bić, łajać, zasłużyłam... Ale tymczasem chodźmy do komisarza. Opowiem mu wszystko, opiszę jak wyglądała ta ladacznica, jakim przyjechała powozem. Odnajdą ją, odbiorą dziecko, a ja jej oczy wydrapię, jak mnie pan żywą widzisz.

— W którą stronę odjechał powóz? — pytał zwrotniczy głosem złamanym.

— W stronę rogatki Włoskiej, a pędził co koń wyskoczy... Ciągnęły go dwa konie kasztanowate...

— Wywieźli ją z Paryża... — zabiją lamentował nieszczęśliwy ojciec.

— Cóż znowu!... Policya wytropi tych gałganów: przecież niejeden po drodze musiał zauważyć takie konie i powóz.

— To moja ostatnia nadzieja! Chodźmy! — rzekł Cambremer.

Matka Sorbier włożyła czepiec i zarzuciła szal na ramiona.

— Jeszcze słówko: czy Marta bała się tej kobiety? — spytał zwrotniczy.

— Wcale nie — objaśniała praczka. — Usłyszawszy, że pan jest skaleczony dziecko rozpłakało się, ale powiedziało odrazu: „Chcę tatusia zobaczyć.“ I pojechało z tą nieznajomą bez najmniejszej obawy.

— Nie rozumiem! — wołał Cambremer. — Marta przecież wiedziała, że ją chcą wykraść, wiedziała, że nie jestem na linii. Jak mogła uwierzyć w te kłamstwa.

— Ona straciła zupełnie głowę, usłyszawszy, że pan jest ranny. To dziecko pana kocha szalenie. Ale my tutaj tracimy czas na gawędy. W drogę mój panie; lamenty na nic się nie zdadzą.

Wyszli krokiem przyspieszonym.

ROZDZIAŁ IV.

Od kilku dni stary Lecoq żył nadzieją, Piédouche był na drodze do ważnych odkryć. Węglarze wypatrywali służącej Angielki, a Cambremer obiecał przynieść ojcu Vinet genealogię rodu Sullivanów.

We czwartek, o godzinie piątej nabab indyjski wsiadł do powozu po raz pierwszy bez swego Murzyna, tłómacząc, że jest niezdrów, bo mu klimat paryski nie służy. W istocie Piédouche, czekał na placu Chateau d'Eau na Cambremera.

Tymczasem p. Lecoq objeżdżał Lasek Buloński w zamkniętym powozie, kilkakrotnie wyminął Arabelę Disnay i jej przyjaciółkę Herminię.

O szóstej kazał zawrócić do Paryża, ale nie Polami Elizejskiemi, tylko bulwarami zewnętrznemi. O wpół do siódmej stangret zatrzymał się po za cmentarzem Pére Lachaise w miejscu odludnem. Z powozu wysiadł już nie nabab w turbanie i jedwabnej szacie, ale zwyczajny mieszczuch paryski w popielatym kapeluszu i czarnym surducie.

Stangret, przyjaciel Piédouche'a, wcale niezdziwiony taką metarmofozą, odjechał na bulwar Charoune i stanął przed handlem win.

Tymczasem p. Lecoq drobnemi kroczkami ze zwojem papierów pod pachą, podążał do mieszkania, wynajętego na imię p. Vinet. Musiał przechodzić obok placu la Roquette, na którym jego syn miał nałożyć głowę.

Nieraz zapuszczał się w te strony i spotykał tu wiernego Pigache'a, który był wtajemniczony w projekty i metemorfozy swego dawnego szefa i co wieczór tutaj krążył.

Mogli rozmawiać swobodnie. Numer 33 udzielał panu Lecoq wiadomości o Ludwiku, zasięgniętych od dozorcy więziennego, byłego żołnierza. Pigache zapoznał z nim nawet ojca Vinet'a.

Owego dnia agent, zatrzymany w prefekturze, nie mógł się stawić, ale dozorca palił fajeczkę pod drzewami esplanady i zobaczywszy aferzystę, zbliżył się do niego.

— No i cóż? — rzekł, klepiąc go po ramieniu. — Jak się tam powodzi?

Wcale nie źle, wcale nie źle — odparł ojciec Lecoq. — Dużo teraz bankructw, a że ja zajmuję się likwidacyami, więc roboty mam sporo.

— Tak to jednemu płacz, drugiemu śmiech. Zwyczajnie, jak na świecie. Gdyby nie było bankructw, pan nie miałbyś co jeść. Gdyby nie było złodziejów i morderców do pilnowania, ja nie mógłbym palić fajeczki.

— Ha! wolę ja swoje zajęcie. Nie chciałbym dniem i nocą pilnować ludzi, przeznaczonych na stracenie. To nie zabawne.

— Można się ze wszystkiem oswoić — rzekł sentencyonalnie dozorca. — Czy pan myśli, że nasi więźniowie się smucą? Gdzietam! Całemi dniami grywają z nami w karty. Mój ostatni pupil wczoraj, przepadał za pikietą, a jak odemnie wygrywał, to się dopiero cieszył!

— No, a ten którego pan teraz pilnujesz? — zapytał ojciec Lecoq, tłumiąc drżenie głosu.

— Ho, ten zupełnie inny... I nie dziw... Chłopak z dobrej rodziny, bogaty. Nie chce mu się zapewnie umierać, ale trzyma się ostro. O nic nie prosi, tylko całemi dniami pisze. Ot niedługo zawiozą go tutaj — mówił dozorca, wskazując na plac gilotyny.

— Przecież nie prędzej, niż za sześć tygodni — wybełkotał ojciec Lecoq, bo mu głos w gardle zamierał.

— Nie, skrócili termin. Podobno już za dwa tygodnie. Ręczę, że pójdzie na śmierć odważnie.

— Przepraszam pana — rzekł nieszczęśliwy ojciec, wyjmując zegarek — już blizko siódma, mam się spotkać o siódmej z pewnym przedsiębiorcą, który ogłosił upadłość.

Mówiąc to, stary Lecoq odszedł krokiem przyśpieszonym, bo bał się zdradzić ze swą rozpaczą. Pierwszy raz słyszał, że jego syn jest nieodwołalnie zgubionym. Pigache ukrywał przed nim prawdę.

Ojciec Vinet, zagłuszając niepokój, dążył do swej kancelaryi. Podawał się za prawnika, regulującego wszelkie interesy. Od dwóch tygodni zaledwie przybywał tu wieczorami, a już zjednał sobie najlepszą opinię i wdzięczność wśród swoich współlokatorów. Jednemu pomógł wydostać należność od klijenta, drugiemu umieścił oszczędności na dobry procent; brał niewiele, a wszystko dobrze załatwiał. Opowiadał, że ma w środku miasta mieszkanie i drugą kancelaryą, gdzie przyjmuje bogatą klijentelę.

Pan Lecoq, przybywszy z Anglii, wiedział, że będzie musiał odgrywać niejedną rolę i z góry wszystko obmyślał, celem złapania w pułapkę Tolbiaca, bo w Anglii nabrał przekonania, że on pragnie zgubić jego syna i że musi mieć w tem ważny interes.

Ale jaki? To należało właśnie wykryć.

Ojciec Ludwika zasięgał o nim wiadomości w Londynie i dowiedział się, że jest marną figurą, gotową do wszystkiego. Dowiedział sie dalej, że sprawa sukcesyi O'Sullivana jest celem jego zabiegów i postanowił przedewszystkiem wykryć, czy Marya Fassit nie pochodzi z tej rodziny.

Po zdobyciu tych informacyi zaczął swoją działalność w Paryżu. Przybrał rolę nababa, aby uzyskać wstęp do towarzystwa, w którem przebywał Tolbiac; kancelaryę porad prawnych otworzył, chcąc ułatwić sobie poszukiwania w sprawie sukcesyi.

Piedouche znalazł mu w ślepej uliczce La Roquette mieszkanie małe, trzy pokoiki, z oknami, wychodzącemi na podwórze i zasłoniętemi firankami podwójnemi; zawiasy we drzwiach napuszczone oliwą poruszały się cichutko, a we drzwiach wywiercone były dziurki, przez które można było obejrzeć zgłaszających się, zanim się im drzwi otworzyło.

Wszystko to obmyślił Lecoq, a urządził Piedouche.

Owego wieczoru, uzbroiwszy się w insygnia swej profesyi, zasiadł przy biurku i oczekiwał na klienta, którego miał mu przyprowadzić dawny numer 29.

Po chwili w przedpokoju rozległ się dzwonek.

Lecoq wstał, podszedł na palcach i przyłożył oko do dziurki. Przekonawszy się, że to Piedouche i jego towarzysz, otworzył mu pośpiesznie.

Eks-agent przedstawił Cambremera. Rzekomy radca prawny ogarnął go bystrem spojrzeniem i zauważył, że jest innym, niż mu go Piedouche odmalował. Zamiast spokojnego, poczciwego robotnika, miał przed sobą człowieka o twarzy wzburzonej i oczach rozpłomienionych gorączkowo. P. Lecoq nie przypuścił, że zaszła zmiana co do osoby, lecz wnioskował, że coś niespodziewanego wynikło. Zresztą Piédouche, nie chcąc pozostawić swego zwierzchnika w niepewności, odrazu zaczął w te słowa:

— Uprzedziłem pana, że przyprowadzę znajomego, który potrzebuje pańskiej rady w sprawie sukcesyi. Otóż teraz chodzi mu o coś innego. Ma wielką zgryzotę... Wykradziono mu córkę... tę właśnie, która ma dziedziczyć...

Pomimo daru panowania nad sobą, p. Lecoq drgnął, bo cała doniosłość tego wypadku przedstawiła mu się od razu.

— Niechże pan opowie, jak to było — rzekł do Cambremera.

— Cóż mogę powiedzieć?! — zawołał ten z rozpaczą. — Od chwili, jak mi ukradziono dziecko, straciłem zupełnie głowę. Nie byłbym do pana przyszedł, gdyby nie nadzieja, że mi dopomoże odnaleźć Martę.

— Istotnie — odparł ojciec Vinet — zajmuję się wszelkiemi poszukiwaniami w sprawach rodzinnych. Opowiedzże pan, jak to było. Ale naprzód muszę panu zadać jedno pytanie: czy ta dziewczynka miała jakie prawa do sukcesyi?

— To właśnie o nią chodzi... — mam tylko jedną córeczkę... właściwie miałem, bo teraz...

— Uspokój się pan... Może tylko zabłądziła...

— Nie, powiadam panu, że ją wykradli... I komisarz policyjny wmawiał we mnie, że nie porywanoby dziecka ubogiego.

— Czy mu wspomniałeś, że pańska córeczka może zostać bardzo bogatą? — spytał żywo Lecoq.

— Po co? Wyśmianoby mnie tylko. Błagałem go, żeby mi dopomógł, żeby rozesłał agentów po przddmieściach i okolicy. Powiedział, że przedstawi raport prefektowi policyi i że prefekt wyda rozporządzenia... To było wczoraj... Dziś chodziłem do niego dwa razy... Mówił, że szukają, że rozesłali rysopis Marty do żandameryi... Tak, dręczą moje dziecko, zabiją ją może.

— O której godzinie znikła?

— Wczoraj wieczorem o dziewiątej. Oddałem ją pod opiekę sąsiadki, a z powrotem dowiedziałem się, że przyjeżdżała jakaś dama w powozie... że mówiła, jakobym złamał nogę w Choisy le Roi i chcę zobaczyć swoją małą, więc ona przyjechała po nią... Sąsiadka uwierzyła w te kłamstwa i oddała jej dziecko.

— W którą stronę powóz odjechał?

— Mieszkam przy bulwarze l'Hopital. Podobno wyruszył w stronę placu Italie, a potem skręcił na drogę do Choisy. Widziało go ze dwadzieścia osób.

— A więc będą mogły opisać konie i liberyę stangreta. Pańskie sąsiadki mogą także opowiedzieć, jak była ubrana dama i w jakim jest wieku.

— Młoda jeszcze i była bardzo wystrojona.

— Czy pan nie podejrzewasz nikogo?

— Zkądże? Czy ja znam damy, jeżdżące powozami? Marta nie wychodziła nigdy bezemnie.

— A jednak — wtrącił Piédouche — już raz próbowano ją wykraść. Pamiętacie, kolego, wtedy, kiedyśmy przetrącili po kilka kieliszków w pobliżu Jardin de Plantes. Jakaś stara kobieta chciała porwać Martę.

— Tak, pamiętam — odparł Cambremer z goryczą. — Powinienem był lepiej czuwać nad Martą, nigdy jej nie opuszczać.

— Czy wczoraj, odchodząc mówiłeś pan komu, kiedy wrócisz?

— Nikomu, tylko mojej sąsiadce.

— Czy powiedziałeś jej pan, dokąd idziesz?

(Ciąg dalszy nastąpi.

Mazur.

Wpadliśwa tu, z hukiem, z krzykiem,
Z weseliskiem i kuligiem,
Lecz na radość smutek godzi,
Wstępna środa już nadchodzi.
Bis { Powiedzieć tam Wstępnej środzie,
Niech poczeka na zagrodzie!

W okna bije dzionek biały,
Oczki pannom pomalały,
Zaczeliśwa w Czwartek Tłusty,
Bo też krótkie te zapusty!
Bis { Ej panienki! zapust szkoda!
Wszakże to już Wstępna środa!

Która za mąż się wydała,
Na ostatki już nie skacze,
Która panną pozostała,
Po popielcu na post płacze.
Bis { Ej panienki! krew nie woda!
Wstępna środa — zapust szkoda!

Czy tam szkoda, czy nieszkoda,
Niech mi która rękę poda!
Bo wam przyjdzie pożałować,
Że nie chciałyście tańcować.
Bis { Jak popędzim na wyskoki —
Puszczę sanki do zatoki!

Powiedz księżę kapelanie,
Co też mi się za to stanie —
Żem pokochał dziewczę młode,
I poszalał w Wstępną środę?
Bis { Choćbym gorzał po łopatki,
Muszę hulać na ostatki!

Oj gosposiu nasza droga!
Ksiądz nasz straszy gniewem Boga —
Daj nam barszczyk na śniadanie,
Pannom kącik na przespanie:
Bis { Bo pojedziem już do Sielec,
Z żalem serca na popielec.

Wincenty Pol.

NA BALU.

— Czy to wszystko, co mi pan miał do powiedzenia?

— Wszystko.

— Wie pan co? Jeżeli mam być otwarta i szczera, a taką jestem zawsze, niewiele mi pan powiedział. Przedstawiano mi pana, jako człowieka bardzo...

— Wygadanego chciała pani powiedzieć.

— Wygadanego, dziękuję. Pańscy koledzy reklamowali swadę, ciocia humor, a pani Jadwiga dowcip. Tymczasem od godziny rozmawiam z panem... niema się pan czego kłaniać, przecież już dobra godzina upłynęła, jak skończyliśmy owego walca, — no, a pan nie powiedział mi nic takiego, czegobym już od dawna nie wiedziała. Uważa pan, mówię ja, to znaczy, osóbka, która wie niewiele, ale, prawda, w dodatku do wszystkiego: uwaga, pan wcale nieosobliwie tańczy — walca... tak się nie tańczy... pan nie myśli o tańcu, a widzi pan, jednak mnie się zdaje, że cokolwiek się w życiu robi, trzeba o tem myśleć, trzeba mieć wiarę, że się zrobi...

— Wiarę? A zaraz wiarę! Chciałaby pani widzieć w tańcu, gdy nie starczy jej do rzeczy poważniejszych! Młoda pani dusza...

— Mój panie... ale, jak też panu na imię?

— Sądziłem, że pani pamięta: Józef.

— Nie, nie pamiętałam jeszcze, na to dosyć mamy czasu; ależ panie Józefie, powiedz mi pan w zaufaniu, jak pan sobie wyobraża duszę młodej dziewczyny, istoty, która dla pana jest czemś zupełnie nieznanem. Co pan może powiedzieć o przedmiocie, który...

— Za pozwoleniem, dusza młodej dziewczyny jest to...

— Już źle, zupełnie źle pan zaczął. Pomiędzy referatem urzędowym, artykułem dziennikarskim i rachunkiem małe są różnice, ale pomiędzy rachunkiem i duszą leży cała otchłań, to też można zasiadać do biurka z pewną pedanteryą, ale nie wolno zabierać się do takiej analizy na zimno, rozumie pan, nie wolno pod karą narażenia się na zarzut... albo ja wiem na jaki okropny zarzut, taki, którego całoroczną pokutą nie można później okupić.

— Zachwyca mnie pani swoją prostotą. W tem wiejskiem ustroniu nie spodziewałem się spotkać istoty, którąby tak surowo potępiała...

— Ja niczego nie potępiam, tylko się dziwię. Dziwię się, gdzie panowie potraficie tak szybko pogubić wszystkie lepsze uczucia. Czy życie, panie Józefie — widzi pan, już pamiętam imię pańskie, — czy życie jest tak okrutne, tak brzydkie, iż człowiek, który w nie wchodzi, musi wyjść bez złudzeń, musi wyjść wyciśnięty, jak cytryna, gorzki, jak pieprz, i ubogi w uczucie, jak nędzarz w ubranie? Powiedz mi pan, powiedz mnie, która tego życia nie zna, ale nienawidzi je, jeśli ono w istocie jest młynem do mielenia ludzkich serc i robi otręby z duszy, powiedz pan, czy pańska mina, z której na sto kroków wieje mróz, jest pozą salonową czy istotnem nieszczęściem? Och, bo pan byłbyś bardzo nieszczęśliwym, gdyby tak było w istocie!

— Mam wielką ochotę, najpierw poprosić panią do polki, aby naprawić złe wrażenie walca, następnie przynieść pani chłodzących napojów, a wreszcie, a wreszcie... powiedzieć, że to wszystko prawda, co pani mówi, ale inaczej być nie może. Życie nie bywa dobrą siostrą, u której wszystko można wyprosić, życie nie zasłania ludzi jak matka, ale ich pcha po równi pochyłej, póki nie zobaczy na dnie.

— A później?

— Później wraca po nowe ofiary. Jest to jedyne *perpetuum mobile*, na jakie żaden wynalazca nie dostał patentu. Dla pani życie jest salą balową, dla mnie szpitalem...

— Bez siostry miłosierdzia?

— . . . . .

— Dlaczego mi pan nie odpowiedział? Czy tak nie bywa, że ktoś bardzo chory i bardzo nieszczęśliwy znajdzie nietylko przytułek, ale i serce w tem schronisko.

— I co da w zamian?

— Jak to co? Także serce!

— Które będzie tyleż warte, ile robaczywa śliwka, lub pusty orzech — ładna zapłata za trudy!

— A co komu może szkodzić, że daje kupcowi fałszywy pieniądz, gdy kupiec ten pieniądz bierze i jest z niego zadowolony.

— Staje się przez to wspólnikiem zbrodni, oszukuje ludzi, których nadużył dobrej wiary.

— Więc niema żadnej rady?

Owszem jest: zostawić wszystko po dawnemu i uwierzyć, że inaczej być nie może.

— A jednak kto nie chce uwierzyć w taką brzydką prawdę?

— Prawda zawsze bywa brzydką. Ładną bywa tylko w oczach młodych panienek.

— Rozumiem to docinek do mnie skierowany.

— Nie docinek, lecz ostrzeżenie, które zresztą nie na wiele przyda się. W pewnym wieku człowiek nigdy nie wierzy w to, co mu inni mówią. Młodzież dziwi się, gdy starsi życie im na czarno malują, starzy znów nie pojmują, jak można różowe nazywać czarnem. Obie strony zarzucają sobie daltonizm i schodzą się w zdaniach dopiero wówczas, gdy jedni nie chcą wierzyć, a drudzy już nie mogą.

— A pan?

— Ja stoję pośrodku. Chciałbym być przekonanym, że można wytworzyć jakiś *modus vivendi*

— Niech pan do mnie nie mówi po łacinie, bo ja tego nie rozumiem. Więc pan należy do tych, którzy nie grzeszą, gdyż nie mają okazyi a nie są cnotliwi, gdyż radziby zgrzeszyć.

— Przypuśćmy, że tak.

— W takim razie czego pan od życia wymaga?

— Nie ma co mówić, skromne zapytanie! Niejeden samobójca nie umie na nie odpowiedzieć, przeszedłszy wszystkie ścieżki życiowe w błędnej zadumie, a pani chce, bym ja tu na balu, tak odrazu otworzył sobie mózg, wyjął serce i przeczytawszy, co znajdę na nich napisane, pani powtórzył? Panno Ewo, pani chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, że są myśli, które ująć w słowo jest najtrudniejszem zadaniem, że całe życie nie starczy nieraz na ugruntowanie jednego określenia. Mamy przykład. Jak pani pojmuje dobro?

— No, cóż wielkiego, dobro jest to...

— Ja pani dobrze życzę, więc nie chcę, żeby pani kończyła. Na pewno powie pani coś... nieścisłego.

— Dlaczego mi pan przerywa, a kto wie, czy nie powiedziałabym trafnie? Dobroć to: miłość i wyrozumiałość

— No, tu już jest coś, ale nie wszytko. Miłość.

— Ja panu dobrze życzę, więc nie chcę, aby pan kończył. Na pewno powie pan coś... nieprawdziwego. Miłość, miłość!... Panu się zdaje, że miłość to gruszka, którą wziąwszy w palce, można określić, z jakiego pochodzi gatunku drzewa, lub że to jest owad, którego kształt mówi o nazwie. Nie, panie Józefie, miłość jest jak powietrze, jak woń. Upaja niewidzialnie i niepostrzeżona chwyta. Jak religia poucza, że do Sakramentu nie wolno przystępować bez wiary i czystości, tak i miłości nie zazna nikt prawdziwej, kto w nią nie wierzy... Miłość...

— Gdzie pani to czytała?

— Pański dowcip mnie nie dotknie. Nie czytałam nigdzie, chyba, że pan kwiaty i wodę, ziemię i całą jej krasę uważa za księgi. W takim razie — czytałam. W przeciwnym, nie umiałabym wcale określić formy liter, z których powstawały zdania, jakiemi przepełniona jest moja młoda główka. Panu się zdaje, że ośmieszenie wszystkiego jest środkiem skutecznym. To dobre dla niepewnych swego zdania, ale nie dla mnie. Ja tak wierzę w to, co myślę i co mówię, że kiedy rano pacierz odmawiam i wieczorem po modlitwie zasypiam, proszę Bozi, aby nie zmienił mojej natury. Chciałabym taką umrzeć, jaką jestem...

— Wszak pani zawsze na wsi mieszkała.

— Tak; dlaczego?

— Stoję przed panią, jak winowajca. Widzę rysy i pęknięcia na budowie moich myśli i przekonywam się, że nietylko źle tańczę, ale też i bardzo źle bronię moich przekonań.

— Więc?

— Kiedy można pomówić drugi raz z panią, a później może... z mamą?

— Ho, ho!... kiedy to będzie! Najpierw niechno pan się wyleczy ze swego pesymizmu, a później zobaczymy...

— Zobaczymy dopiero?

— Tak, zobaczymy... jak pan tańczy polkę. Najbardziej marzycielska panienka lubi dobrego tancerza... *A. J. Sęk.*

Wyjątek
z wiersza satyrycznego „lafirynda"

z roku 1847-go.

Nadszedł zapustny wtorek,
Zmrok, wieczór — ona siadła,
Toalety dwóch córek
Wiszą z dwóch stron zwierciadła.
One stoją przy krześle,
Ona wzrokiem je mierzy,
Jak wódz biegły w rzemiośle
Swych przed bitwą żołnierzy.
Panienki jak jagódki,
Prócz cer trochę niezdrowych:
I matki uśmiech słodki
Błysł z damy lic surowych.
„No, *Mes demoiselles!* — rzekła,
„Macie już swych tancerzy;
„Hrabini mi przyrzekła:
„Twoim Zosiu, Comte Jerzy.
„Twoim Comte Jean Emilko!
„Potem w kolei przeciwnie.
„Pamiętajcież mi tylko,
„By się trzymać nie sztywnie!
„Myślcież wciąż, kto jesteście,
„Jaki wasz ród i stan;
„I że ja patrzę wreszcie."
— „*Bien ma chère Maman!*"
— „Zaraz w dół spuścić oczy,
„Gdy tancerz co przemawia;
„Bo to efekt uroczy,
„Gdy się panna obawia.
„Pozwalam się uśmiechać
„*Z bon mots* hrabiego *Jean*,
„I broń Boże nie wzdychać!"
— „*Bien ma chère Maman!*"
— „Z hrabią Jerzym rzecz inna,
„On zawsze mówi górnie.
„Każda go z was powinna
„Słuchać skromnie, pokornie.
„Po tańcu dygnąć wdzięcznie,
„Lecz gdyby w tańcu stan
„Zbyt objął — umknąć zręcznie!"
— „*Bien ma chère Maman!*"
— „Gdy z was którą zawoła
„Sama pani hrabini,
„Twarz niech będzie wesoła
„Z uśmiechem usiąść przy niej.
„Nakłonić ku niej ucha;
„A gdy przemówi sama,
„Niech każda ze czcią słucha,
„Bo to jest wielka dama,
„Synami są jej oba
„*Comte Jerzy* i *comte Jean*,
„Róbcie niech was podoba!
— „*Bien ma chère Maman!*"
— „Gdyby z niższej młodzieży
„Zaczął do was kto gadać,
„Słuchać już też należy,
„Lecz nic nie odpowiadać! —
„Ja wnet w pomoc przybędę,
„Skrócić wasz przykry stan
„I przerwać tę gawędę."
— „*Merci ma chère Maman!*"
— „Teraz nie tracąc pory
„Niech każda suknie mierzy;
„Bo zapowiadam z góry,
„Jak dwunasta uderzy,
„Tańca już ani kroku,
„Stryj prałat tego żąda,
„I hrabini wiem z boku,
„Krzywo na tych spogląda,
„Co tańcują, lub jedzą,
„Gdy post dzwonią już z wieży;
„A chcę, niech ludzie wiedzą,
„Że z was każda w post wierzy.
„Jutro musim też rano
„Uwinąć się z kościołem,
„Prałat ma mszę czytaną,
„I sam zawsze popiołem
„Chce posypać swe krewne;
„A od ksieni Ireny
„Słyszałam, że to pewne
„Lekarstwo na migreny.
„No, — czekać mię w salonie!
„Idę ubierać głowę, —
„Basiu! na ósmą konie,
„Każ, niech będą gotowe!"

Ant. Ed. Odyniec.

PIJANY.

Była to jesień; sine, ołowiane chmury zdawało się, że są nieruchome, tak leniwo i ociężale przesuwały się po nad rozmiękłą ciągłemi deszczami ziemią. Na drogach i polach szerokie kałuże wody odbijały jednostajną, ciemną barwę nieba, zdając się urągać młodej oziminie, której delikatne źdźbła wyglądały trwożliwie z pod szklanej powłoki.

W naturze panuje martwota i smutek, nie dziw więc, że i serce człowieka lęka się czegoś i smutnie marzy. Przeciągły świst zimnego wiatru wystudza uśmiech wesela na ustach i zmiata z twarzy wyraz swobody.

Po pustej drodze sunie się wyniosła, chociaż już pochylona wiekiem postać starego strzelca. Idzie powoli. Czyżby przytwierdzona do torby myśliwskiej zwierzyna miała mu tak ciężyć? Przystanął na chwilę, zdjął kapelusz i potarł ręką czoło.

— Ha! jak ten wiatr świszcze — mruknął do siebie — jak gdyby miał przynieść złe licho jakieś z sobą.

I szedł znów dalej, ale jeszcze wolniej, jakby ciężar jaki przygniatał go do ziemi. Niespokojny wzrok starca z tęsknotą obejmował lasy i pola, jak gdyby żegnał je w przeczuciu blizkiej rozłąki.

— Cóż u licha! — zawołał niecierpliwie i szarpnął siwego wąsa, na który stoczyła się łza. — Czyż będę się mazał jak dzieciak? Ludzie nie wiedzieć co gadają, ot! zwykłe babskie plotki.

Przyśpieszył kroku i jak gdyby wstydząc się własnego rozczulenia, śmiało zbliżał się do gospodarczych zabudowań Pruszowic, wspaniałej siedziby pańskiej.

U furty podwórza spotkał starego woźnicę.

— Cóż tam słychać, Wojciechu? — zagadnął go wesoło.

— Co! — odparł woźnica i ze złością postawił trzymany kubeł, tak, że aż woda szeroką strugą rozlała się po ziemi — będę jutro innych obwoził.

Słowa woźnicy uderzyły jak piorun w strzelca, zachwiał się tak silnie, że aż ręką musiał uchwycić się furty.

— Pruszowice... — wyszeptał i urwał nagle, bo myśl i usta wypowiedziały mu posłuszeństwo; stał drżący cały, wspierając głowę o parkan.

— Eh! panie Tomaszu — odparł filozoficznie woźnica — czego tak desperować; ziemię oddają kolonizacyi, bo każdemu miłe pieniądze; gadać czego niema, przecież to co sprzedają, to nie nasze, tylko pańskie; świat długi i szeroki, kto uczciwy i pracować chce, ten nigdy nie zmarnieje. Przy naszym starym dziedzicu, świeć tam, Panie, nad jego duszą, dużo ładnych i mądrych rzeczy nauczyliście się; ja się tam na tem nie znam, ale to dobrze rozumiem, że tu co gadać niema, nie nasze co nie, to nie, a jakbyś słowo powiedział, to cię za drzwi wyrzucą.

Przykre milczenie zapanowało po tych słowach woźnicy.

— Nie nasze, Tomaszu, nie nasze — powtarzał Wojciech i podniósł z ziemi kubeł, zabierając się do odejścia — niema co gadać, pójdziemy w świat w imię Boże.

Stary strzelec obejrzał się w około, dla niego światem była ta ziemia, na

której się urodził, po za nią pusto i zimno. Oparł się na parkanie i patrzył przed siebie martwym wzrokiem, wicher jesienny szalał nad jego głową, a on się wsłuchał w ten świat przeciągły i żałobny, jako w dzwon pogrzebowy.

Dusza starca na chwilę oderwała się od ziemi i uniosła ku niebu.

— Boże zmiłuj się nade mną — jęknął z głębi piersi.

Żebrał miłosierdzia Bożego, bo lękał się powrócić do domu, ażeby nie usłyszeć potwierdzenia słów woźnicy; wlókł się powoli, przystając co chwila i unikając spotkania się z kimkolwiek. Gdy był oddalony o kilka kroków od swego mieszkania, usłyszał wesoły śpiew dziewczęcy; piosnka dźwięczała takiem weselem i swobodą, że na chwilę jasny promyk zabłysnął w oczach starca. Raźniej zbliżył się do drzwi i nacisnął klamkę. Zaledwie ukazał się na progu, młode jasnowłose dziewczę wybiegło z kuchenki i zarzuciło mu ręce na szyję.

— Dziaduniu, niedobry dziaduniu! — zaszczebiotało — gdzieżeście bawili tak długo? Na dworze wicher, drżałam o was, dziaduniu. Mam mleko gorące, świeże kartofelki, rozgrzejcie się, dziadziu.

Starzec nie oddał jej pieszczot za pieszczoty, chmurny zdejmował torbę myśliwską. Dziewczę zatrwożyło się, odstąpiło o kilka kroków i uważnie wpatrzyło się w twarz jego.

— Dziaduniu, co tobie? — zawołała zakłopotana — tyś taki inny, taki smutny.

— Zdaje ci się, Zuzulo — odparł siadając przy stole i wspierając głowę na ręku. — A! ziąbłem, nic więcej. Podaj wieczerzę.

Dziewczyna pobiegła do kuchenki i powróciła wkrótce, niosąc garnuszek gorącego mleka. Nalała pełną filiżankę i przysunęła ją dziadkowi. Starzec połknął parę łyków mleka i spojrzał na dziewczę, które zafrasowane siedziało przy końcu stołu.

— Dlaczego nie pijesz, Zuzulo — zapytał po chwili.

— Bo... bo nie mam apetytu.

Milczenie zapanowało w izdebce. Starzec szarpał siwy wąs i zaciskał raz po raz pięść; szare jego oczy zamgliły się łzą.

— Dziadziu... — szepnęło dziewczę i zamilkło nagle trwożne i drżące.

— Zuzulo — odparł starzec, a słowa łkaniem prawie wydobywały się z jego piersi — nie będziemy mieli dachu nad głową.

Dziewczyna pobladła i zsunąwszy się z krzesła, przyklękła u nóg strzelca.

— Nowy dziedzic wypędza was, dziadziu? — zapytała stłumionym głosem.

— Sprzedaje kolonizacyi — wybuchnął nagle starzec i odepchnąwszy dziewczę, splótł ręce nad czołem — sprzedaje, Zuzulo.

Powstał gwałtownie i zaczął chodzić po izdebce; wreszcie przystanął przy oknie i otworzył je pomimo wichury.

Dziewczyna dopiero teraz pojęła znaczenie słów dziadka i ogarnął ją jakiś strach; nie umiała zdać sobie z niego sprawy, czuła tylko, że braknie jej ziemi pod stopami, Przez otwarte okno ujrzała na szarem tle nieba ciemną wieżę kościołka, przypomniała sobie groby rodziców i gorący potok łez spłynął po jej twarzy.

— Dziadziu — szepnęła trwożliwie — któż na Zaduszki zapali świecę, odmówi „Zdrowaś“ na ich grobie? Ciężko im będzie pod tą zimną ziemią bez naszej modlitwy.

Starzec gwałtownie zwrócił się do niej.

— Nie żałuj tych, którzy pomarli, ci już dawno garść ziemi znaleźli dla siebie.

— Słuchaj dziewczyno — mówił dalej, wspierając się na oknie, — nie sługą, ale przyjacielem byłem mego ś. p. starego pana, a jeżeli nie zdjąłem liberyi służebnej, to tylko dlatego, że z dumą nosiłem jego herb, jakgdyby on był moim własnym. A dzisiaj... herb ten zbrukany.

Opierał się o okno, a pomimo to drżał cały, jak w febrze, gwałtownym ruchem rozpiął zieloną kurtkę strzelecką, ozdobioną herbowemi guzikami i z gniewem odrzucił ją od siebie.

W tej chwili w sieni dały się słyszeć czyjeś kroki, lokaj ukazał się na progu.

Jaśnie pan kazał prosić p. Tomasza do siebie — odezwał się, trzymając rękę na klamce, jak gdyby śpieszno mu było odejść.

Strzelec nie odrzekł ani słowa.

— Jaśnie pan rozkazał mi powiedzieć, że ma pilne polecenie — odezwał się znowu lokaj, nie pojmując dziwnego zachowania się strzelca.

Zuzula z trwogą spoglądała na dziadka.

— Dziadunio zmęczony... chory — mówiła lękliwie.

Na słowa dziewczęcia starzec odwrócił się szybko, targnął siwego wąsa, co zwykle było oznaką wewnętrznej walki, i odparł krótko: Pójdę.

Była to więcej odpowiedź na jego własne myśli, aniżeli na wezwanie lokaja.

Zuzula instynktownie postąpiła kilka kroków i zasłaniając sobą starca rzekła błagalnie:

— Dziadzio przyjdzie... proszę powiedzieć, że zaraz przyjdzie.

Lokaj nie rozumiejąc dramatu boleści ludzkiej, który się rozgrywał przed jego oczyma, pokiwał głową i zniknął za drzwiami.

Po wyjściu lokaja, dziewczę zwróciło się do strzelca:

— Jaśnie pan czeka na was, dziadziu.

Starzec zawrzał gniewem.

— Czego drżysz i patrzysz na mnie wylęknionym wzrokiem łani, czego się lękasz dziewczyno?

— Takim nie widziałam was nigdy, mnie tak straszno czegoś.

— To módl się, łzy i modlitwa są obroną kobiet.

Dziewczę, szlochając, usunęło się do kuchenki, a strzelec zarzuciwszy szarą kapotę, udał się do pałacu.

Przed drzwiami pańskiego gabinetu zatrzymał się chwilę, wyraz jego twarzy złagodniał. Czyż jak sędzia ma stanąć przed ostatnim potomkiem rodziny, której chleb tyle lat jadał i służył jej tak wiernie? Nie, niewdzięcznością nie splami się nigdy, błagać będzie. Nacisnął klamkę, przestąpił próg i zatrzymał się przy drzwiach.

Na środku pokoju, przy stole zarzuconym papierami, siedział obecny dziedzic Pruszowic, robiąc ołówkiem obliczenia z korzyści, jakie mu przyniesie sprzedaż wsi, położonej daleko od jego dóbr, a którą był otrzymał drogą spadku po stryju. Twarz hr. Oryńskiego była zimną i spokojną, jak liczby, które kreślił na papierze.

Po chwili podniósł wzrok od papierów i spojrzał przelotnie na strzelca.

— Och! dobrze, że już jesteście, Tomaszu, przysposóbcie na jutro dobrego węgrzyna; zresztą znacie piwnicę, wiecie, co się w niej znajduje.

Krew uderzyła do głowy starca, straszna prawda stanęła mu przed oczyma, do tej chwili łudził się jeszcze.

Hrabia, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, podniósł głowę, ale zaledwie wzrok jego padł na starca, gniewny powstał z fotelu. Nabrzękła krwią twarz strzelca, błędne spojrzenie i zaciśnięte groźnie dłonie nasunęły hrabiemu wątpliwość co do trzeźwego stanu Tomasza. Starzec, poznawszy wzrok pana, postąpił krok naprzód i chwycił się za pierś, jakby mu w niej tchu zabrakło.

— Nie zbliżaj się! — zawołał gniewnie hrabia — jak śmiesz w podobnym stanie stanąć przede mną?... Odejdź! — i ręką wskazał mu drzwi.

Jak raniony lew, targnął się strzelec, a z piersi jego wydobył się dyszący kurczowy głos.

— Jam pijany, jaśnie panie — odezwał się zwolna — ale bólem, który mi pali wnętrzności, rozpaczą, która mi życie wydziera. Cierpię strasznie... — i dłonią uderzył się w pierś szeroką.

Hrabia zbladł, przygryzł wązkie usta i zimnym wzrokiem wpatrzył się w starca.

— Szalonyś, człowiecze — wymówił spokojnie, chociaż trochę drżącym głosem — prześpij się, na takie bóle sen najlepsze lekarstwo.

— Szydzisz ze mnie, jaśnie panie; jutro wydajesz ucztę, ale żeby nie zabrakło wina na stypę pogrzebową dla tylu tysięcy ludzi, którym z waszej przyczyny zabraknie chleba.

— Precz! precz mi z oczu! — wybuchnął hrabia i groźnie podniósł rękę — nie wykonał jednak zamiaru, siłą woli powstrzymał się i stanął znowu na pozór spokojny przy stole.

Słychać było tylko nierówny, przyspieszony oddech starca. Nad biurkiem wisiał portret ś. p. dziedzica; ku niemu jak gdyby szukając ukojenia, podniósł wzrok strzelec, a potem przeniósł go na syna. I nagle odbiegł od niego gdzieś daleko gniew szalony, oczy jego wezbrały łzami i spłynęły po zoranej wiekiem twarzy. Wyciągnął błagalnie dłonie i jak długi runął u nóg hrabiego.

— Panie! zmiłuj się nad nami! — jęczał, uderzając głową o podłogę, a siwe rozczochrane włosy dotykały obuwia hrabiego — daj nam chociaż jeden promyk nadziei, że Pruszowic kolonizacyi nie sprzedasz. Gdy pierwsze złe wieści przechodziły do nas, pocieszałem się, powtarzając: nie wszyscy tacy. A dzisiaj?... Panie, zmiłuj się!

Hrabia stał nieruchomy, a na bladej jego poprzednio twarzy wystąpiły gorączkowe rumieńce. Starzec przestał błagać, powstał i czekał z pochyloną ku piersi głową.

— Odjedź — wyszeptał pan po chwili — na miłość Boską odjedź i zostaw mnie samego.

Starzec, posłuszny woli pańskiej i wyczerpany cierpieniem, cofnął się do drzwi i zniknął.

W pustej sieni pałacu, zatrzymał się i obejrzał wokoło, jak gdyby oczekiwał odpowiedzi.

— Czy zwyciężyłem? — zapytał siebie — ale w głosie jego było więcej zwątpienia, niż nadziei.

Glaubicz.

Dzwon zapustny.

W noc zapustną, na wieży,
Stał w podartej odzieży
Stary dzwonnik, przyparty do ściany,

Wiatr mu brodę nastrzępił,
Starzec czoło zasępił,
I przygarnął rozwiane łachmany.

„Ciężka dola dzwonnika —
Chłód do kości przenika,
I pociechy zeń ludziom niewiele;

Tylko mary i groby,
Tylko pieśni żałoby,
Rzadko święto, lub jakie wesele.

Ot i dzisiaj zapusty —
Wszędzie radość, śmiech pusty,
Zapomnieli ludziska niedolę;

A tu dzwon im zahuczy...
Eee — niech przeor pomruczy,
Ja im jeszcze pohulać pozwolę.“

I nie śpieszył z posługą,
Długo jeszcze stał długo,
Zaczemś myślą samotną pogonił,

Podniósł oczy do góry,
Ujął wreszcie za sznury,
I potężnie, co siły, zadzwonił.

Antoni Kolanowski.

†

Nekrologia.

S. p. Adam Lew Pereświt hr. Sołtan umarł w zeszłym tygodniu na zachodnio-pruskiej ziemi, we Waplewie, jako członek znakomitej litewskiej rodziny Sołtanów, „co mieszka w Zdzieńciele“, jak mówi Mickiewicz.

Gniazdo rodzinne pozostało w posiadaniu drugiej linii Sołtanów, ale większą część fortuny olbrzymiej skonfiskował rząd rosyjski za udział w powstaniu 1830 roku, a ś. p. Adam już prawie ubogi, został dzieckiem wzięty w kadety petersburskie. Lecz „dusza litewską została.“—Po różnych przykrych życia kolejach osiadł gorący syn Ojczyzny w Waplewie. Siostra, Marya, dziś pani ośmdziesięcioletnia, wyszedłszy za hr. Alfonsa Sierakowskiego, przygarnęła go do siebie. I odtąd żył w rodzinie bliższej i dalszej szwagra, jakoby w swojej własnej, kochany, szanowany, że tracił sam nieraz poczucie, czy nie jego to wszystko, co mu jakoby właśnie z wykwintną delikatnością przedkładano.

Tylko do Litwy tęsknił ustawicznie. Na polowaniach lubił opowiadać o wielkich obławach na grubego zwierza w litewskich kniejach, o nocach spędzanych w puszczach i wyraźnie dawał poznać fatalną różnicę, jaka między naszemi nagankami na zające, a polowaniem na niedźwiedzie zachodzi.

Ś. p. Adam Sołtan odznaczał się wybitnie polskiemi cechami: nadzwyczajną bujnością myśli i uczuć, rycerskością zawsze świeżą, szlachetnością nawet we wszelkich zakątkach i zakrętach duszy, gorącą, nie, — palącą miłością do Polski. Nie lubił oczywiście Rosyi, ale i pruszczyzna przejmowała go wstrętem. Nienawiści nie czuł, — był za szlachetny, za to pogardę chował stale w sercu. Od młodego pokolenia dzieliło go bezwzględne hołdowanie ideałom, bo też młodzieży z modnym obecnie utilitarnym kierunkiem, z duszą wyziębłą a ku używaniom i zyskom zwróconą, i do puszenia się skłonną, nie lubił i wręcz jej to okazywał. Kogo polubił, to już bez podziału, ten mógł polegać na nim jak na Zawiszy. Mianowicie zaś wszystko, co polskie, choć z dźbła kiełkowało, już kochał i wspierał i z rozkoszą o nowym polskim nabytku opowiadał. A wszystkie jego uczucia miały oprawę twardą, jakoby z litewskiego dębu. Nawet, gdy się roztkliwiał, mówiąc o czemś kochanem, widać było, że czułym jest, bo silnym i prostym, i że choć starzec, niebezpiecznym stać się może.

Był gotów każdej chwili w piekło skoczyć za swe ideały, a że przyszło nam nie umierać, ale żyć dla nich, więc według sił i możności w pośród tej obcej dla siebie cywilizacyi starał się i męczył serce i głowę, wspierał i zachęcał, i z przekonaniem niewzruszonem patrzał w przyszłość, póki mu wiek oczu nie zmrużył.

Jak prawym był synem narodu, jak nieskazitelnym był jego żywot, jak gorąco miłował co zacne, — tak niechaj Mu Bóg dobry będzie miłościwym sędzią i da biednemu wygnańcowi spoczynek, zbawienie i chwałę wiekuistą!

* * *

Krysztof hr. Cieszkowski, dziedzic Wierzenicy pod Poznaniem, zmarł nagle dnia 12 b. m. w pociągu kolei żelaznej pomiędzy Gnieznem a Kobelnicą.

Ś. p. Krysztof hr. Cieszkowski, syn znanego uczonego i filozofa ś. p. hr. Augusta i Heleny z Cieszkowskich urodził się 1859 roku.

Zmarły odznaczał się od młodu niezwykłemi zdolnościami. Wybitne umysłowe grono ludzi skupiających się w około jego ojca, oraz liczne z nim odbywane podróże za granicę, rozwinęły jeszcze w wyższym stopniu wrodzone talenta.

Był to z dzisiejszej generacyi jeden z ludzi najgruntowniej i najwielostronniej wykształconych, a zupełny brak pedanteryi dodawał osobnego wdzięku tej tak bogato uposażonej naturze.

W takich warunkach byłby miał hr. Krysztof wszelką możność uwydatnienia swych zdolności na szerszem i świetniejszem może polu działalności publicznej w kraju, lub brania udziału w wykwintnym dyletantyzmie kosmopolitycznego zachodu.

Prawdziwie polskiem sercem czuł on jednak, że obowiązki jego leżą bliżej, że w obecnych stosunkach pierwszem zadaniem obywatela-ziemianina jest wytrwanie na posterunku odziedziczonej po ojcach ziemi.

To też nie szczędził on nigdy pracy i zaparcia się siebie, by obowiązkom tym zadosyćuczynić, a prócz pracy stosował do siebie mimo znacznego majątku twardą zasadę prawdziwej oszczędności i rzędności, tej dla Polaków tak kardynalnej cnoty.

Ludzie wybitni umysłowo wywierają wpływ nie tylko bezpośrednio przez swoją działalność, lecz także, a może jeszcze w wyższym stopniu przez przykład dawany drugim. Dobry wpływ tego przykładu, tego przywiązania do rodzimych ideałów, łączył się u zmarłego z szczerą i pełną uroku prostotą.

Życie jego płynęło jasno w zupełnej harmonii i równowadze, gdyż u niego idealne motywa cechowały każdą czynność powszedniego życia. Dobry i kochający, najprzywiązańszy brat, wierny sługa narodu i Kościoła, pozostawia przez swą przedwczesną śmierć niepowetowaną i bolesną próżnię, przedewszystkiem u tych, którzy go z blizka znali i kochali. Człowiek dążący przez całe swe życie do dobra i prawdy, pozostawia potomnym „pamięć dobrą i poczciwą.“

Requiescat in pace!

* * *

Dnia 1-go b. m. umarł w Wrześni

ś p. Bonifacy Nowakowski,

przeżywszy 82 lata. W zmarłym straciła Września obywatela Polaka tak zacnego charakteru, jakich dziś już mało. — Okupiwszy się w Wrześni przed wielu laty, był bardzo długo sędzią polubowym, od walki kulturnej przewodniczącym katolickiej reprezentacyi parafialnej, zasiadał jako radny miasta, brał udział w wszystkich zebraniach towarzyskich, sprawach publicznych, a zwłaszcza narodowych, to też pomimo, że mu swego czasu ofiarowano wiele przynoszącą kamelaryą, nie przyjął jej, widząc, że w takim razie musiałby się liczyć, co do swych działań i zapatrywań z władzą rządową. On to brał czynny udział w roku 1848 i 1863, a pominąwszy ofiary, które chętnie dla narodowości poświęcał, umiał sobie każdego zjednać i swym niezrównanym humorem ująć. Posiadał przytem ogólne i zupełnie zaufanie i szacunek, że nie będąc wcale zaczepianym z strony przeciwnej, miał w swych pokojach na parterze pruskich oficerów a nad nimi (I. ptr.) powstańców, nie pomnąc na jakie niebezpieczeństwo był wystawiony. — Nieboszczyk był długoletnim przewodniczącym Banku pożyczkowego w Wrześni, sprawował swój urząd wiernie i sumiennie i do ostatniej chwili brał czynny udział w sprawach bankowych, nie uchylając się przytem od największego poświęcenia swych ostatnich sił dla ogółu, (największą przyjemnością jego było nieść pomoc stroskanym wdowom i sierotom. W zmarłym utraciła „Praca“ gorliwego zwolennika i czytelnika.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie, a światłość wiekuista niech Mu świeci na wieki!

Orędownik
alias
Szwarc-Weisser

wierny swej prusofilskiej przeszłości — solidaryzuje się jak inaczej być nie mogło — z tutejszą zżydziałą, hakatystyczną „Pos. Ztg.“, która w iście semicki sposób odpiera nasz *na prawdzie historycznej* oparty artykuł pt. „Mane, Thekel, Phares“, zamieszczony w nr 4 „Pracy“ z okazyi 200 jubileuszu królestwa pruskiego. W nawiązaniu do tych trzech tajemniczych wyrazów „Mane, Thekel Phares“, które ognistemi literami zajaśniały, podczas uczty babilońskiemu królowi Baltazarowi, jako zła wróżba upadku jego potęgi, przypomnieliśmy butnemu prusactwu znikomość wszelkich potęg, a przedewszystkiem tych, które lekceważą wielką prawdę: „Iustitia fundamentum regnorum“ — „sprawiedliwość jest podstawą państwa“. Nasze napomnienie poprzedziliśmy krótkim poglądem na rozwój pruskiego królestwa, uprzytomniając czytelnikom główniejsze daty z dziejów pruskich, mające związek z przeszłością polskiego narodu i piętnując politykę pruską, zdobywczą, przebiegłą i obłudną, która z ujmą dla ościennych narodów stworzyła dzisiajszą pruską siłę — przed prawem.

Że żydowska „Pos. Zeitung“, piśmidło zażarcie antypolskie, stojące teraz wyłącznie na żołdzie hakatystów — napadnie na „Pracę“ za ten artykuł — jubileuszowy, to przewidywaliśmy z góry, lecz atak z tej strony zwykliśmy odeprzeć poprostu — kopnięciem nogi...

To też antypolski scribifax z „Posenerki“ w poczuciu swej bezradności i niemocy — przypomniał sobie nagle powagę Duchowieństwa naszego i tu oto zapukał o pomoc przeciwko „Pracy“. — Lecz nie tędy droga — trafnie odpowiedział zaraz „Goniec Wielkopolski“ zżydziałemu pismakowi, odsyłając go wraz z całym kahałem żydowskim z apelem o pomoc — do rabinów...

Bo też tylko żydowska arogancya i żydowska bezczelność – którą się „Posenerka“ zawsze odznacza — jest zdolną do podobnego apelu. Ileż to razy bowiem „Pos. Z.“ plugawemi słowy bryzgała swój cuchnący jad na Wielebne Duchowieństwo nasze, a nawet na naszą najwyższą Władzę kościelną, Ks. Arcybiskupa Dr. Stablewskiego, niemając nawet tyle przyzwoitości, ażeby uszanować uczucia wiernych archidyecezyan, którzy o ile z obrzydzeniem odwracają się od piśmideł żydowsko-hakatystycznych, o tyle z głęboką czcią zwracają się ku swoim kapłanom i ich zwierzchnikowi. W jednej chwili odzierać z wszelkiej czci i powagi, a w razie potrzeby na tę samą cześć i powagę się powoływać — to znamienna metoda żydowskiej „Pos. Ztg.“, która pod względem ustawicznych, a najzjadliwszych napaści na nasze Duchowieństwo — z pośród wszystkich żydowsko-hakatystycznych brudnych piśmideł — prym wiedzie. Lecz leży to już w żydowskim charakterze. — —

W tej więc żydowskiej zapobiegliwości i iście semickiem natręctwie zadudniła „Posenerka“ równocześnie też jeszcze do pism polskich o pomoc przed „Pracą“ i to nawet do „wielce szanownych pism polskich“, dla których, jak „Dziennik Poznański“ słusznie zauważył — innym razem „Pos. Ztg.“ ma tylko jad gryzący. Lecz „Pos. Ztg.“ w swym apelu się jednakowoż nie zawiodła.

Znalazło się przecież jedno „wielce szanowne pismo polskie“, a jest niem „Orędownik“, który w swym szlachetnym porywie – jak zawsze – wprawdzie sam jeden tylko, ale za to też co tchu pospieszył z pomocą zrozpaczonemu Izraelowi w postaci „Pos. Ztg.“, by ukoić łzy semickie, przelane obficie ku większej chwale pruskiej.

„Orędownik“ nawet przesadził jeszcze „Posenerkę“, podczas gdy bowiem „P. Z.“ ukontentowała się zaczepką tylko „Pracy“ samej, — „Orędownik“ poszedł dalej jeszcze, czepiając się nawet osobiście naszego wydawcy.

„Zapewniają nas także, pisze wyraźnie p. Dr. Szymański, że dobitnie tłomaczono p. Biedermannowi, wydawcy „Pracy“, co pisać, a co nie pisać, lecz daremnie...

Czyś panie Dr. Szymański, tem chciał wskazać prokuratoryi, kogo się ewtl. czepić w razie możliwego procesu? W takim razie nie darmo nosiłeś, panie Dr. Szymański, swego czasu powszechne miano „Szwarc-Weissera“; może się dziś znów odezwała w Tobie, dawniejsza żyłka — prusofilska?

Przynajmniej „Pos. Ztg.“ wraz z tutejszym „Tageblatem“ nie poskąpiły panu dr. Szymańskiemu pochwały za jego wystąpienie przeciwko „Pracy“ i tejże wydawcy, cytując w całej rozciągłości artykuł p. Dr. Sz., ba nawet znana „Geselligerka“ kiwnęła palcem zgody ku „Orędownikowi.“ – Widzisz, p. dr. Szymański, że idąc razem z „Pos. Ztg.“, „Tageblattem“ i z „Geselligerem“, że w tem towarzystwie łatwiej o laury uznania! Winszujemy więc dalszego powodzenia na tej drodze...

Dalej pisze p. Dr. Sz., że wydawcy „Pracy“ brak potrzebnej inteligencyi, a nawet zmysłu na to, co żywiołowi polskiemu może szkodzić, a co może pomódz. Twój sąd dodatni lub ujemny, p. Dr. Szymański, nosi nasz wydawca, a zarówno z nim kilkotysięczny zastęp czytelników — po prostu pod piętą!

Takiej znanej wartogłowy i ustawicznej mąciwody, jak Ciebie, p. Dr. Szymański — już nie bierze nikt na seryo. Odgrywasz Ty dziś, panie Dr. Szymański, nietylko wśród szerokich kół naszych czytelników, a jak wiemy, niemniej w bardzo licznych kołach po za obrębem tychże — nic więcej jak jedną i zawsze tę samą pocieszną rolę — ustawicznego mąciwody! Stoisz też odosobniony, sam jeden, jak kołek w płocie i tylko od czasu do czasu „Postęp“ przemówi za Ciebie — jak to ostatnim razem miało miejsce — jeżeli już Tobie samemu nieuchodzi zwalczanie przez ogół raz postawionego kandydata na posła, który teraz Twej mąciduszy już nie jest tak blizkim, bo Ci wyrosł po nad głowę — — — Na Twych judaszowskich kruczkach myśmy się już dawno połapali, panie Dr. Szymański — a z nami wszyscy ci, którzy mieli sposobność Ciebie osobiście, bliżej poznać i obserwować.

W końcu jeszcze jedno zapytanie? Powiedz nam też, panie Dr. Szymański, coś Ty właściwie zdziałał pożytecznego będąc w posiadaniu tak „nadmiernej inteligencyi“ i tak „wielkiego zrozumienia“ naszych potrzeb społecznych?

Dochrapałeś się zaledwie 800 abonentów, a po za tem postawiłeś sobie długotrwały pomnik burzyciela społecznego ładu i porządku, dalej wskazałeś socyalistom polskim drogę do Poznania i wreszcie pokazałeś im — jak się zebrania rozbija!

Ostatni — przykry obraz na sali Bazarowej — to Twoje dzieło, panie dr. Szymański, a socyaliści to Twoi wierni ucznie. Tyś ich nam wychował i rozzuchwalił — dając sam dobry przykład. Dziś nieodważysz się Ty już, panie dr. Szymański, na podobne experymenta jak przed dwoma laty — bo dziś spotkał by Cię ten sam los, jaki spotkał socyalistów ostatnim razem na zebraniu w Bazarze.

Oto — Twa zasługa, panie Dr. Szymański! —

Natomiast wydawca „Pracy“, o własnej sile wydał pismo i w przeciągu niespełna czterech lat zdołał pozyskać potężną liczbę 13,000 abonentów, z pośród których niejeden, dopiero przez czytanie „Pracy“ gorętszem sercem ukochał cudny wdzięk mowy ojczystej.

Ztąd nauka, że nie potrzeba nadzwyczajnej inteligencyi, ani też osobliwszego zmysłu — *ale więcej uczciwej myśli,* niż jej posiada „Orędownik“, by znaleźć poklask i uznanie.

Na tem kończymy naszą odpowiedź i prosimy Cię, panie Dr. Szymański, — *i to w Twym własnym osobistym interesie* — w przyszłości nie czepiać się wydawcy „Pracy“, bo polemika z „Orędownikiem“ niesprawia mu satysfakcyi, — i zaniechać osobistych napaści, zasługujących właściwie na taką odpowiedź, do której nie potrzeba ani inteligencyi, ani szczególniejszego zrozumienia — polityki „Orędownikowej“..... *M. B...*

Wiadomości.

List pasterski Najprzewielebniejszego Ks. Arcybiskupa na post wielki opuścił świeżo prasę. List pasterski poprzedza list Ojca św., rozszerzający jubileusz na cały świat katolicki przez przeciąg 6 miesięcy, oraz warunki dostąpienia jubileuszowego odpustu.

List pasterski zawiera naukę o źródłach łask jubileuszowych i pragnie, aby wszyscy dyecezyanie ten nowy wiek rozpoczęli aktem szczególniejszym czci dla Chrystusa, wyraźnym i uroczystym aktem uznania Go swoim Panem i ofiarowania się Jemu.

Czas miłościwy jubileuszu trwać będzie do dnia 10 go sierpnia r. b.

W końcu udziela List pasterski dyspensy w poście na czas od Popielca r. b. do Popielca 1902 r.

Pierwsza część Listu odczytaną została w niedzielę mięsopustną, dnia 10 go bm., a druga odczytaną będzie w niedzielę zapustną, dnia 17-go b. m. w miejsce kazania we wszystkich kościołach obudwóch archidyecezyi.

Agentura „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ na Rozbark, Bytom i okolicę znajduje się jak dotąd i nadal w księgarni p. W. Glazowskiego w Rozbarku. — Tam też można zamówić pisma powyższe każdego czasu.

Benefis pani Wysockiej. W przyszły czwartek, dnia 21-go b. m., na benefis bohaterki naszej sceny, p. Wysockiej, odegrany będzie piękny dramat słynnego włoskiego dramaturga Giacossy: „Jak liście“. Sztuka ta cieszyła się ogromnem powodzeniem na scenach berlińskiej, paryzkiej i wiedeńskiej. W Warszawie prawie że nie schodzi z repertuaru. Nie wątpimy, że publiczność nasza tłumnie pospieszy do teatru dla zobaczenia tego pięknego dramatu, oddając zarazem słuszny hołd talentowi i pracy tej sympatycznej artystki, której każde pojawienie się na scenie sprawia prawdziwą przyjemność wielbicielom sztuki dramatycznej.

Slub. Dnia 30 stycznia pobłogosławionym został w kościele w Pakości związek małżeński pomiędzy p. Edmundem Karasiewiczem, właścicielem apteki w Wyrzysku, a panną Jadwigą Kowalikówną, córką państwa Maksymilianostwa Kowalików tamże. Aktu ślubnego dopełnił w asystencyi ks. ks. prob. Chylewskiego, Kruszki, Kaczmarka i Kowalika wuj panny młodej, były poseł, ks. kanonik dr. Wartenberg z Kamieńca, który od ołtarza w nader serdecznych do nowożeńców przemówił słowach. Po obrzędzie kościelnym rodzice panny młodej podejmowali u siebie z właściwą im szczerą gościnnością licznie zblizka i zdala przybyłych gości. Młodej parze w długie lata: „Szczęść Boże!“

„Zioła lecznicze, rosnące u nas dziko i hodowane w ogrodach i na polach, ich zgromadzanie, suszenie i przechowywanie spisał Tadeusz Sniegocki, Poznań. Nakładem autora. Czcionkami drukarni „Pracy.“ (M. Biedermann) 1901.“

Pod takim tytułem opuściło co dopiero prasę bardzo praktyczne dziełko z illustracyami, które znajdować się powinno w każdem gospodarstwie, gdyż traktuje rzecz nietylko ze stanowiska ogólnie naukowego, lecz udziela także rad praktycznych, w jakim czasie sprzątać korzenie, liście, kwiaty, owoce, lub nasiona, jak je suszyć i jak suszone przechowywać. Wskazówki te są podane przy każdej roślinie, aby ludziom mającym sposobność i zamiar trudnienia się zgromadzaniem i suszeniem ziół leczniczych ułatwić pracę.

Podane są także przy niektórych roślinach sposoby ich hodowania w ogrodach lub na polach.

Dziełko to nabyć można za nadesłaniem 60 fenigów w Ekspedycyi „Pracy“ lub też wprost u autora przy ulicy Rycerskiej 38, II piętro.

Zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom na anons księgarni p. I. W. Nowaka w Starogardzie, zaopatrzonej obficie w elementarze polskie, książki dla dzieci i młodzieży, książki rolnicze itd., nuty, oraz w wszelkie artykuły piśmienne.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu pp. P. Miękicki z Wąsoszu zebrane na weselu u państwa Kitkowskich w Wąsoszu 6 mr., M. Mielicka z Krotoszyna 5 mr., S. P. z pod Gołańczy 2 mr., Edmund Niemczewski z Inowrocławia 1 mr.

Dotąd zebraliśmy na cel powyższy 388 mr. 10 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Gniezno. Niedzielna premiera czcigodnego naszego rodaka, syndyka Klepaczewskiego „Nasi mieszczanie“ sprowadziła na salę p. Koschnicke'go liczny zastęp doborowej publiczności, która z wielkiem zainteresowaniem śledziła akcyą dramatyczną, jaką czcigodny autor w tej nader ciekawej sztuce rozwinął. Była to wierna kopia — z wyjątkiem małych usterek — zdjęta jak najsubtelniej ze życia naszych mieszczan. Gra szanownych amatorów i amatorek była dobrą, a przynajmniej wszyscy dołożyli sił, aby całość wypadła jak najlepiej. Na wyszczególnienie jednak zasługuje artystyczna gra p. Kmiecikowskiej w roli żony stolarza Szuberta, głównej postaci w „Naszych mieszczanach“, która wywołała burzę oklasków dla szanownej debiutantki. Również wiernie i dobrze oddał p. Smodlibowski, urzędnik konsystorski, typ Swietlika, obywatela miejskiego, starego kawalera, za co i jemu serdecznie oklaskami podziękowano. Całość wypadła bardzo dobrze i zadowolniła widzów jak najzupełniej.

Wronki, 12. 2. 1901. W kilku dziennikach wyczytałem wiadomość, że Towarzystwo Przemysłowe we Wronkach dało przedstawienie amatorskie na pomnik niemiecki. Twierdzenie to mija się z prawdą i zakrawa na lichy żart. Dochód bowiem przeznaczony na ubogich i na zakupno książek.

Ażeby dalej nie szarpano dobrego imienia Towarzystwa, proszę Szanowną Redakcyą o zamieszczenie powyższego sprostowania.

Czytelnik „Pracy.“

Curityba, Brazylia, 2-go stycznia 1901.

Szanowna Redakcyo!

Znajdując się w potrzebie odnalezienia jednego z mych familiantów, upraszam Szan. Redakcyą, aby raczyła ogłosić w swem piśmie, że ja Roman Paul, poszukuję swego stryja, Ignacego Paula, który w tym roku pisał do mego brata Jana do Barra-feia, stan Parana w Brazylii. Siedzibą jego o ile wiem jest Slązk, ale czy austryacki lub pruski także nie wiem. Z zawodu jest inżynierem, człowiek letni, żonaty, nie mający żadnych dzieci. *Roman Paul.*

Curityba Nr. 15 em caza do Sr. H. Burmester et Co Estado Parana-Brazil.

Sprawozdanie. Przystępując do piątego z rzędu rocznego sprawozdania z rozprzedaży kart ustępujących telegramy, jesteśmy zmuszone i tym razem zaznaczyć, że, jakkolwiek suma przez nas zebrana jest dość pokaźną i nie następuje wysokością swą sumom, zebranym w dawniejszych latach, nie odpowiada bynajmniej naszym oczekiwaniom.

Miałyśmy słuszną racyą spodziewać się, że cele, na które przeznaczamy dochody z kart, zastępujących telegramy, spowodują wszystkich do używania tych kart. Tak jednak nie jest. A przecież korzyści z używania kart, zastępujących telegramy, są widoczne.

Telegram wysłany w mieście kosztuje najmniej 40 fenygów — nasza karta wraz z portem na miasto 30 fenygów. Korzyść z naszych „kart“ jest tem większa na wsi. Tam zazwyczaj telegram kosztuje wraz z opłatą posłańca 1 mk. — nasza karta z opłatą porto 35 fenygów.

Pomimo tych wyraźnych korzyści najmniej korzystają z kart naszych ziemianie. Wprawdzie trzeba o terminie, na który ma być telegram wysłany, pamiętać dobrze, bo 24 godzin naprzód należy wysłać naszą kartę idącą, jak list zwyczajny. Lecz to już chyba nie jest trudnością nie do zwalczenia. Radzimy też karty zawsze wysyłać w kopertach.

Po tych objaśnieniach zwracamy się do szanownej publiczności z gorącą prośbą o rozprzestrzenianie naszych kart i mamy

nadzieję, że szczególnie panie usiłowania nasze poprą.

Przy tej sposobności z przykrością zaznaczamy, że w kilku miejscowościach naśladują karty nasze. Nie rozwodzimy się nad tem dłużej, podnosimy jednakże, że my cały czysty dochód przeznaczamy na cele dobroczynne i narodowe.

Upraszamy raz jeszcze o poparcie. Wszystkich, którzyby się łaskawie zechcieli podjąć rozprzedawania naszych kart gratulacyjnych i tem samem przyczynić do zasilania naszych funduszów, prosimy zgłosić się do pp. Doktorowej Kusztelanowej, Poznań, Ogrodowa 12 I. lub Haliny Łebińskiej, Poznań, Wielkie Garbary 50 I.

Karty nasze mają na składzie następujące firmy w Poznaniu: Rose w Bazarze, Wichrowski i Swięcicki ul. Berlińska, Księgarnia Katolicka, Stary Rynek, Księgarnia Templowicza, ulica Wilhelmowska, p. Chmielewski w Jerzycach, nadto ekspedycya „Kuryera Pozn.“, „Dziennika Poznańskiego“ i „Wielkopolanina“. — Sprawozdanie kasowe:

Dochód: remanent z przeszłego roku 2,74 mk., ze sprzedaży za rok 1900 676,21 mk., razem 678,95 mk.

Rozchód: Rose a conto rachunku 100 mk., Kolonie wakacyjne 100 marek, Czytelnie ludowe 100 mk., Schronienie nauczycielek 100 mk., Złóbek 50 marek, Przytulisko dziatwy szkol. 50 mk., Tow. wykład. lud. 50 mk. Na książeczki dla biednej dziatwy 50 mk. Przytulisko starców 30 mk. Dla biednego ucznia 30 mk., Fundusz Janiny Omańkowskiej 10 mk., razem 670 mk.

Zrównanie: Dochód 678,95 mk., Rozchód 670,00 mk. — pozostaje w kasie 8,95 marek.

Dr. T. Kusztelanowa, M. Halina Łebińska, Walery Łebiński.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

Poznań. Towarzystwo Młodzieży polsko-katolickiej urządza w niedzielę dnia 17-go lutego na sali teatru Apollo wieczorek połączony z przedstawieniem amatorskiem.

Odegraną będzie sztuczka w 4 aktach, wyjęta z życia czeladzi rzemieślniczej „Szczęść Boże rzemiosłu!“ Nadto zbiór duetów humorystycznych p. t. „Wesoła czeladź.“

Ceny miejsc: Balkon 1,00 mrk. I miejsce 0,75 m., II miejsce 0,40 m., III miejsce do stania 0,20 m. Bilety są do nabycia w składzie papieru p. Skrzetuskiego i wieczorem przy kasie. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. Na powyższą zabawę zaprasza najuprzejmiej wszystkich Towarzystwu życzliwych. Zarząd.

Krotoszyn. Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ w Krotoszynie urządza w niedzielę, dnia 17-go b. m wieczorem o godz. pół do 8-mej na sali p. Stencla przedstawienie amatorskie. Odegraną będzie komedya Przybylskiego w 4 aktach „Wicek i Wacek.“ Ze względu na treść sztuki zawierającej w sobie dużo humoru i niejedną myśl wzniosłą, zapraszamy do jak najliczniejszego udziału w przedstawieniu. Zarząd.

Gostyń. Koło Śpiewackie w Gostyniu urządza w niedzielę, dnia 17-go lutego r b. w Strzelnicy teatr amatorski połączony z koncertem.

I. Chóry męzkie: W lesie, Wygnaniec, Gdy w czystem polu, Parobeczek.

II. „Staruszkowie w zalotach.“ Fraszka sceniczna w 1 akcie ze śpiewami.

III. Chóry męzkie: Krakowiak Mon., Śpiew pielgrzyma, Mazur, Kujawiak.

IV. „Papugi naszej babuni.“ Operetka w 1 akcie z franc.

Po przedstawieniu zabawa. O liczny udział uprasza Zarząd.

Poniec. Tutejsze Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ urządza dnia 17-go b. m. w hotelu Victoria przedstawienie amatorskie. Odegrane będą: „W mamusi oczach“ i „Słowiczek.“ Zakończą ćwiczenia gimnastyczne i żywe obrazy. Początek o godzinie 8-mej wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. Zarząd.

Blumenthal (w Hanowerskiem). Towarzystwo polskie „Sobieski“ obchodzi 17 go lutego uroczystą rocznicę swego 11 letniego istnienia. Przesyłamy mu życzenia dalszego rozwoju.

Szczęść wam Boże, Rodacy na obczyźnie!

Szczecin. Tutejsze Towarzystwo „Jedność urządziło w sobotę dnia 2-go bm. wieczorek z tańcami. Bawiono się w najlepszej harmonii doskonale. Podczas wspólnie wypitej kawy, zabrał głos prezes towarzystwa, p. Czajkowski, witając serdecznemi słowy wszystkich i dziękując za dość liczne przybycie. Potem przemówił p. Wujec, wygłaszając cele Towarzystwa i zachęcając do przystępu do tegoż.

Nastąpił wspólny śpiew „Bracia rocznica.“ Niespodziankę zrobiły Towarzystwu panie Hakanowicz i panna Leszczyńska śpiewem na 3 głosy wyćwiczonym w domu za co obecni podziękowali licznemi oklaskami. Pan Leszczyński odznaczał się także solo śpiewem. Wreszcie nie zapomnieć trzeba, że i kupiec tutejszy p. Szczepański dyrygował śpiewem, który sam wćwiczył. Tak urozmaicony wieczór zeszedł wszystkim prawie za prędko.

Smutnym nader objawem było, że nasza — tak zwana — inteligencya — oprócz tych, którzy przybyli, a jest ich znacznie więcej — się nie stawiła. Tak jak w innych miastach, tak i tu na Pomorzu, — zdaje się nam, iż owym panom i paniom nie dość dobrze spędzić wieczór w gronie uboższych i mniej wykształconych Polaków. Pomimo tej małej garstki polonii w Szczecinie utworzyła się tu kastowość panów i pań *„się zowiących* „wielmożnymi“, którzy się mienią być „świecznikami“ społeczeństwa, lecz zdaje nam się, że możemy wymagać, ażeby rzeczywiście „świecili“ wszystkim dobrym przykładem. Jeden za wielu.

Kępno. Czołem! Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ w Kępnie urządza w niedzielę dnia 17-go lutego r. b. od godziny pół do 8-mej począwszy na sali druha Staszaka wieczornicę, na którą życzliwych Towarzystwu jak najuprzejmiej zaprasza Wydział.

Od Redakcyi.

Panu N. N. w Poznaniu. W Berlinie jest akademia dla inżynierów, w Lipsku i w Proszkowie są akademie dla rolników, w Mittweide jest szkoła dla techników, budowniczych itd., w Szamotułach w Poznańskiem jest szkoła dla rolników.

Pan W. N. Koźmin. Ks. kanonik Pędziński przy tumie.

Wiernemu Czytelnikowi w Derne. Na listy bez podpisu nie odpowiadamy.

Pana Józefowi M. w Inowrocławiu. Sprawa ta należy do działu inseratowego. W Berlinie o ile nam wiadomo, gazeta w rosyjskim języku nie wychodzi.

Pana Bronisława Schultisa w Galicyi prosimy o bliższe podanie dokładnego adresu, mianowicie miejscowości, gdyż na karcie korespondencyjnej nie jest podana miejscowość, nawet brakuie stępla pocztowego.

Abonentowi w Gródku, Galicya. W tej sprawie wystósowaliśmy zażalenie do poczty w Gródku.

Panu Edmundowi S. w Szczecinie. Z powodu wielkiego nakładu musimy przyspieszać druk każdego obszernego numeru „Pracy“, więc referat, który nas doszedł już po wydrukowaniu nr. 6-go, dopiero dziś zamieścić mogliśmy.

Pan P. Z. w Czempiniu. Numery żądane wyczerpane.

Panu S. S. w Babimoście. List Pański odesłaliśmy celem poczynienia dalszych kroków do centralnego biura informacyjnego, znajdującego się w handlu cygar p. S. Chociszewskiego przy ul. Wrocławskiej Nr. 28.

Panu M. C. w Suminie. (Pr. Zach.) Od wydania teki, którąby pociągnęła za sobą znaczne koszta, musieliśmy odstąpić, gdyż tylko mała liczba Czytelników oświadczyła się za teką. Co do reszty postaramy się Jego życzeniu zadość uczynić.

Panu Antoniemu S. w Nowym Sączu. (Galicya). Na razie z Jego oferty nie możemy korzystać.

Panu Józefowi S. w Duisburgu. W księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, św. Marcin.

Panu Fr. Sz. w Lwówku. Na razie jesteśmy zaopatrzeni i formalnie zarzuceni wierszami.

Wielebnemu Księdzu Michałowi R. we Wiedniu. Za bardzo serdeczne i życzliwe słowa, również za słowa; „Życzę Wam wytrwałości — przy mszy św. prosić będę za Wami o siłę do pracy — na teraz „Szczęść Wam Boże!““ dziękujemy najserdeczniej.

Panu S. W. w Dreźnie. Z powodu nawału pracy redakcya taką sprawą mimo najszczerszej chęci zająć się nie może.

Panu Józefowi C. w Ostrzeszowie. Takiej agentury w Poznaniu nie ma. Zapisz Pan sobie wprost w Warszawie.

Wiarusowi z nad Noteci. Bóg Wam zapłać za szczere życzenia.

Do Raszkowa. Pisze się „Raszkowski, prezes.“ Co do drugiej kwestyi: tak.

Humorystyka.

Obertasy.

I.

Obaczył raz Wojtek,
Ze knur grzędy ryje,
Zachorzał ze złości
Na influencyję. Oj dana!

A ta fluencyja —
Niechże jom wciórnaści,
Dojże, japtykarzu,
Prędzej jakiej maści. Oj dana!

Wysmarował Wojtek
Maści onej siła,
I Magda mu pięścią
Urok odczyniła. Oj dana!

Odcyniła urok,
Odcyniła dresce,
A Wojtek jej na to:
— Likuj-ze mnie jesce! Oj dana!

Likuj-ze mnie jesce,
Moja ty, kobito,
Bo cię scyrze kocham —
Kiej on knur koryto! Oj dana!

II.

Lizał, skowył, lizał
Po omaści dziżę
A Kaśka mu na to:
— Ja ci tu poliżę! Oj dana!

Ja ci tu poliżę,
Bestyjo ty taka,
Bandzie mi tu garnki
Lizała sobaka! Oj dana!

Skowyr jej ze złości
Sceknie w samo ucho,
Aż mu Kaśka wrzaśnie:
— Cekaj-ze psia jucho! Oj dana!

I jak złapie drąga,
Jak mu liźnie ziobra,
— Uciekaj, psie mięso,
Pókim jesce dobra! Oj dana!

III.

Gzi się, gzi cielocek —
Na scyrem ściernisku,
— Jakże cię nie kochać,
Kiejś gładka na pysku! Oj dana!

Choćbyś cule gruchał
Nikiej jak gołębie,
Nie wyńdę za ciebie,
Boś niechlujny w gębie! Oj dana!

Kosakow.

Krakowiak.

Usiadł ptak na dębie
I tak sobie nuci:
Nie wierz chłopcu, nie wierz,
Bo on bałamuci.

Jednę pocałuje,
Przy drugiej usiędzie;
Trzeciej obiecuje,
Że jej mężem będzie!

Góry się rozpadną,
Chłopcy nie przepadną;
Zawsze się narodzą,
Co dziewczęta zwodzą!

Piękny z ciebie chłopak,
Nikt ci nie zarzuci;
Nie tańcuj z nim, dziewczę,
Bo cię zbałamuci! *R.*

OBEREK.

Wicher hula, grzmi śnieżysko,
Dziedzic w mieście, ja w karczmisku;
Chmur na niebie, niby ścierek,
— „Żydzie! daj-no półkwaterek!“

Pusto w polu i w stodole,
Ale ja ci tańczyć wolę;
Nie masz tańca, jak oberek,
— „Żydzie! jeszcze półkwaterek!“

S.

Polka.

Był u papy żydek Dwojra
Dał na weksel... Ojra! ojra!
Dał na weksel... wypchał worek!
Ojra! ojra! na wieczorek!

Kroczą razem papa z mamą
Za „Berlińską“ kroczą „Bramą“ —
Ojra! ojra! po sprawunki
Mama: *papu*, papa: trunki!

Dźwiga papa tuzin paczek,
Dwa zające, cztery kaczek!
A mamunia w koszu *wety!*
I dla córek trzy gorsety!

Ojra! ojra! brzmi muzyka!
Fika papa, mama fika!
I córunie w takt szeleszczą,
Aż gorsety nowe trzeszczą!

Ojra! ojra! idzie polka!
Ale gości ściska kolka!
Jaki taki do lokaja:
„A co prędka tam *kolaja?*“

Przetańczyli raz i trzeci...
Ojra! z kuchni zapach leci!
Więc się goście oglądają
Czemu na stół nie podają!

Ojra! ojra! dalej smykiem!
Nagle „młodsza“ wpada z krzykiem!
Pobladł papa, mama zbladła
Bo *kolaję* suczka zjadła!

Na czterdzieści zjadła osób!
Drugiej robić już nie sposób!
Co tu począć? Boże wielki!
Ojra! ojra! po serdelki!

Widzą goście co się święci —
Jaki taki nosem kręci!
Nim przynieśli te serdelki
Drapły białe kamizelki!

Ojra! ojra! Po wieczorku!
Smutno w duszy, pusto w worku —
Z gości tylko jeden Dwojgra!
Ojra! ojra! ojra! ojra! *El.*

Krakowiak.

Założyłem sobie
W myślach cztery siwe!
Jechałem, jechałem
Przez lata szczęśliwe!

Przez lata szczęśliwe
Przez ono zaranie —
Kiedy mi świeciło
Najpierwsze kochanie!

Jechałem, jechałem
W słonecznej obręczy —
Kiedy mi się życie
Malowało w tęczy!

Toczył się wasążek
Zorzanym rumieńcem —
Po rucianych dróżkach
Serdecznym gościncem!

Toczył się wasążek —
Wykowane kółka —
Szybowały siwe,
Jak wiosną jaskółka!

Toczył się wasążek
Ładowny wspomnieniem,
Póki rzeczywistość
Nie siadła kamieniem!

Przystanęły siwki,
Podkówka nie dźwięczy!
. . . .
Oj ciężko dojechać
Do wiosnanej tęczy! *El.*

Marzenia po balu.

Pana domu.

— Czasami ktoś zapomina
O tem, co najwięcej boli;
Może kupiec akuratny
Też ze swojej wyjdzie roli,
I zażądać dziś zapomni
Należności swej za trunek,
Za cygarka i kanapki —
A niemały to rachunek!...

Pani domu.

— Chociaż bal zjadł groszy masę,
Ale był, jak rzadko bale,
Na ulicy aż stawano!
Dom wyglądał mój wspaniale!
Mam nadzieję też niepłonną,
Że z liczby wczorajszych gości
Wszystkie moje przyjaciółki
Popękają dziś ze złości!...

Panienki.

— Słodkie słówka cedził ciągle
I kusił mię na *rendez-vous*,
Ja uznałam, że figielki
Przyjąć trzeba te bez gniewu;
Dziś to biedak, ale wuja
Ma głośnego tu nababa;
Niewiadomo, co być może:
Siła zdrowia wuja słaba!...

Synalka.

— Na balu się bawić można!
Bal zabawa, a nie żarty:
Zamiast tańczyć, w radzców gronie
Ja do rana grałem w karty;
Obębniłem ich do nitki,
Dzięki swojej werwie, wprawie;
Uuh! wypocznę sobie trochę
I na mieście się zabawię.

Uwaga.

Bal — zabawa idealna,
Wysławiają ją poeci,
Ona cały szereg uczuć
Ponadziemskich w sercach nieci.
Czy to prawda? co tych twierdzeń
Jest zasadą i podnietą...
Szkoda, że ja prawdę kocham,
Gdyż mógłbym też być poetą,
I nie znając prawdomównych
Jak obecnie wciąż pokuszeń,
Mógłbym zwodzić bliźnich swoich
Dla... mareczek lub dla wzruszeń...

Wesoły.

Telegram z Pekinu.

Donoszą różne pisma
(Cytuję tu ich słowa)
Że w wschodnio-chińskiej sprawie
Stanęła już umowa.
To pewny fakt jest, który
Zaprzeczeń się nie boi,
Bo jak *stanęła* ona,
Tak dotąd ciągle *stoi*.

Okoliczności łagodzące.

— Widzę — odzywa się żona groźnym głosem — że zaślubiłeś mnie tylko dla pieniędzy.

— Daruj, moja kochana — odpowiada mąż słodziutkim głosem — ale w inny sposób rzeczywiście nie mogłem dostać gotówki.

W gotowalni.

— Ach, Zuziu, w kwiatach, które na bal kupiłam, będzie mi bardzo do twarzy, gdy je wepnę we włosy.

— Jeszcze nie przyniesiono, proszę pani...

— Jakto? Nie przynieśli kwiatów?...

— Nie... włosów...

W sądzie.

— Oskarżony! Musisz udowodnić, gdzie byłeś od godziny szóstej po południu do dwunastej w nocy?

— U wujaszka, panie sędzio.

— Cóżeś tak długo tam robił?

— Chciałem pożyczyć dziesięć marek.

— Jakto? przez tyle godzin starałeś się o pożyczkę dziesięciu marek? To fałsz!

— Aha! Niech-no pan sędzia przez cały dzień spróbuje od niego markę wydusić, a przekona się, że mówię prawdę.

W tramwaju.

Damie ktoś wyrwał z ręki portmonetkę, woła więc oburzona:

— To okropność! to przerażające! ależ to dzicy ludzie!

Przeciwnie odzywa się jakiś dowcipniś, — nie dzicy, lecz oswojeni, wszakże *z ręki* już biorą.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy" Wincenty Szmytkowski.



Z kroniki meldunkowej.

Na czas karnawału przejechali do Poznania: Pan Blichtr i pani Obłuda.

(Stałego mieszkania nie obrali sobie nigdzie, lecz goszczą wszędzie po trosze).

Wyjechali z Poznania:

Pan Smutek i pani Troska — na czas bardzo krótki, za góry, za lasy.



Na balu.

— Stanowczo już tańczyć nie będę; jestem tak zmęczoną, że czuję, iż gdybym wstała, upadłabym...

— Szkoda! chciałem pani podczas tańca powiedzieć najświeższą plotkę o Fajeckiej...

— A... to co innego! Służę panu z przyjemnością...

Od depozytów składanych do naszej 679

Kasy Oszczędności

podwyższyliśmy procent i płacimy obecnie:

za natychmiastowem wypowiedzeniem 4%
„ kwartalnem „ 4½%
„ półrocznem „ 5%
„ rocznem „ wedle ugody.

Procenta obliczamy od dnia wpłaty.

Przy przesyłce pieniędzy prosimy wyraźnie oznaczyć, za jakiem wypowiedzeniem depozyt ma być zapisany.

Również polecamy do nabycia pierwszomiejscowe

5-cio procentowe hipoteki,

które cedujemy z gwarancyą za kapitał i procenta. Dla wygody nabywców hipotek płacimy procent wprost naprzód w półrocznych ratach.

Spółka nasza **kupuje na własność majątki ziemskie i gospodarstwa,** **parceluje** takowe na rachunek właściciela lub własny (wpłaty na kupione parcele bardzo umiarkowane) dalej pośredniczy w sprzedaży i kupnie maj tków ziemskich.

Spółka Rolników Parcelacyjna Poznań, Podgórna 10 a. part.

Pługi parowe

budujemy w najdoskonalszych konstrukcyach począwszy od

28,000 marek.

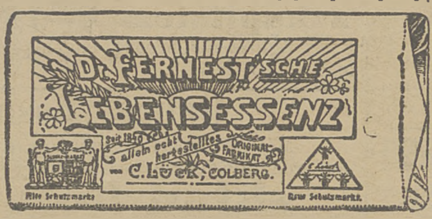
Lokomotywy drożne i parowe walce do żwirówek

budujemy również jako specyalności we wszystkich praktycznych wielkościach i po najprzystępniejszych cenach. 316

John Fowler & Co., Magdeburg.

Polecana w upartych zatwardzeniach stolca, zaburzeniach w trawieniu braku apetytu, cierpieniach żołądka, w zdęciach, kwaśnych odbijaniach, zgadze. Wyborny środek przeciw złemu trawieniu, słabości żołądka Najlepiej działający łagodny, krew czyszczący środek rozwalniający. Działa nawet przy kilkoletniem użyciu; zawsze dobrze działający.

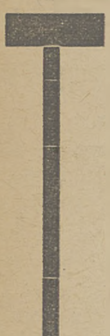
Od 60 lat w użyciu! Dowód dobroci. Posiada niezwykłe własności. Używany w tysiącach rodzin. Nie powinien zbywać w żadnym domu. Najlepszy, najłagodniejszy, najnieszkodliwszy i najlepiej działający w swoim rodzaju. Dobrowolnie udzielone bez żądania świetne dowody uznania, tysiące listów dziękczynnych. Prawdziwe Lucka preparaty ziółkowe, starej, znanej i uznanej firmy C. Lucka w Kołobrzegu, są uznane jako dobre, bardzo ulubione środki domowe. Nazwisko, etykieta i opakowanie ochronione przez cesarski urząd patentowy. Podrabiania są karygodne. Opakowania, wyglądające inaczej jak poniżej stojący rysunek czerwonego opakowania, odrzucić należy, jako nieprawdziwe.



Rysunek zmniejszony czerwonego opakowania.

Żądać należy bezpłatnie sposobu użycia od C. Lück a w Kołobrzegu. Znakomite skutki!

Części składowe: 100 litrów 30 p oc. spirytusu z 3,6 kgr. zewienia, 1,5 kgr. korzenia cytworowego. 2.8 korzenia goryczki, 250 gram. lipo-żywicy amoniakalnej, 250 gr. grzybu modrzewiowego, 1,250 ko. kory Sagrada, 2,6 ko dryakwi bez opium, 30 gr. szafranu, 1 ko. aloesu przez 14 dni. poczem się wyciska i następnie przecedza. Prawdziwe tylko w aptekach. Cena flakonu 50 fen., 1,50 m., i 3 m.



Podciągi (tragarze)

filary, okna

i wszelkie inne artykuły do budowli poleca 35

w wielkim wyborze

i po przystępnych cenach

T. Krzyżanowski,

Poznań,

Szewska ul. Nr. 17.

Pozwalam s bie ja n jupprzejmiej zwrócić uwagę na z pierwszej ręki sprowadzone

Węgierskie i Bordowe wina

i polecam takowe w najlepszych gatunkach po nader niskich cenach hurtownych. 71

M. Szubert,

Rogoźno, (Posen).

Wiele 1000

cierpiących na kaszel i płuca zawdzięcza swe ocalenie mej słynnej na świat cały kuracyi t. zw. 515

American coughing cure.

Kaszel i wyrzucanie flegmy ustaje już po dniach kilku, tysiące osób wyzdrowiało. Katar, chrypka, zaflegmienie i świerzbienie w gardle ustają natychmiast. Cena za flaszkę 2,50 m., na 3 flaszki 6 marek za zaliczką lub też poprzedn. nadesł. pieniędzy. Niezamożni otrzymają preparat za pośw. władzy miejsc. lub też księdza za połowę ceny.

Skład generalny: **Oskar Lutze, Berlin-Reini kendorf (West**

Ból zębów spróchniałych usuwa natychmiast na pewno **„Krupp'a wata do zębów** (20% waty Carvacrol za flaszkę 50 fen. tylko prawdziwa w Centralnej drogeryi. B. Śniegockiego i u Teodora Müllera Berlińska 16 i Glogowska ul. 87.

J. W. Nowak, księgarnia

Starogard (Pr. Stargard)

poleca:

Elementarze polskie po 10, 15, 25, 30, 40 fen. Wielki wybór książek do nabożeństwa. Książki dla dzieci i dorosłych. Książki kontowe (skład główny na Prusy zachodnie pp. J. C. Königa i Ebhardta Hanower.)

Książki rólnicze (skład główny na Prusy zachodnie księgarnia Dziennika Kujawskiego Inowrocław). Skład materyałów piśmiennych. Wielki wybór obrazów, krzyżów i innych dewocyonalii.

Agenturę na „Pracę" i „Czytelnię Polską".

Prenumeratę na wszelkie czasopisma każdego czasu, bibliotekę polską oraz niemiecką. Wielki wybór nut. Kalendarze kartkowe po cenie zniżonej. Wielki wybór kart koresp. z widokami St rogardu, wojska polskiego i innych. Papier listowy z nap sami polskiemi. Drukarnia i introligatornia *dostarcza każdego czasu książki polecane przez księgarnie Poznańskie.* 68

Zakład dentystyczny

S. K. Grabowski,

Poznań, 766

Wielkie Garbary nr. 18, róg Butelskiej.

Przyjmuje od 9—11 i od 2—7.



Piękne

bukiety,

kosze,

wieńce,

dekoracye

wszelkiego rodzaju

tanio wykonuje 41

zakład ogrodniczy

„FLORA"

Anna Kwiatkowska

ul. Wodna nr. 2. Poznań. ul. Wodna nr. 2.

Wysyłki pocztą w starannem opakowaniu.

Premiowane w Lwowie i Poznaniu.

Koniki na biegunach i kółkach.
Torby do podróży.
Torby szkólne
Torby do pieniędzy.
Torby do polowania.
Torby na rynek.
Kufry do podróży.
Szelki, portmonetki.
Siodła i przybory do jazdy konnej.
Bicze, biczyska i baciki

poleca skład drobnych towarów skórzanych

N. Wolniewicz w Bazarze,

3-ci skład w Nowej ulicy. 704

Telegram z Kapsztadu.

W gazetach Kraju Przylądkowego ukazało się następujące ogłoszenie:

„Poszukuje się złodzieja i rozbójnika nazwiskiem Dewet, rabującego angielskie zapasy żywności i napadającego na spokojnych Anglików w Transwaalu i Oranii, rdzennie angielskich krajach. Rysopis: średniego wzrostu, chuderlawy, z bródką i fajką w gębie, wydającą nieprzyjemną woń taniego tytuniu. Znak szczególny: bije bardzo mocno, po czem łatwo go poznać. Ktoby schwytał tego zbója, dostanie sowitą nagrodę, a mnie sprawi rzeczywistą frajdę.

(podp.) Lord Kitchner."